

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec.

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 21 LUTEGO 1931 ROKU

NR. 8

TREŚĆ NUMERU: Kultura skupienia, czy życie „w kratkę”? — *Stanisława Kuszelewska*. Kto napisał „Malwinę”? — *Stanisław Wasylewski*. W szpitalu — *S. Borowska*. Poezje: „Fragmenty listów do szpitala” — *Felicja Kruszevska*. Paryska Sardana — *Aura Wyleżyńska*. Wystawa pamiątek powstania listopadowego w Muzeum Narodowym — *J. Puciata-Pawłowska*. A co jutro, wasza królewska mość? — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Wystawa Sztuki Gospodarstwa Domowego — *Jadwiga Kierwnarska*. Gimnastyka poranna — *W. Prażmowska*. Jak prac wędlną garderobę — *Mabel*. Cocktaile — *Wanda Dobrzańska*. Na temat dobrze zorganizowanej spiżarni — *Pani Elżbieta*. Premje dla Czytelniczek „Bluszczu”. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”.

KULTURA SKUPIENIA, CZY ŻYCIE „W KRATKĘ”?

Przed samą wielką wojną, czyli — prawdę powiedziawszy — sto lat temu, osoba, należąca do jednego stowarzyszenia, uchodziła za uspołecznioną. Obecnie ktoś, kto należy tylko do dwóch stowarzyszeń, uważany jest za zupełnego sobka. Nasze matki, bywające w teatrze raz na dwa miesiące, nazywały się już nader światowemi. Dziś pani, nie ukazująca się dwa razy na tydzień na „czarnej kawie“, dancingu, w teatrze, w kinie lub na meczu — uchodzi za odludka. Powinna też znać wszystkie nowe powieści, sztuki, „gwiazdy“ i obrazy — pod grozą uzyskania opinii „niemodnej“ i „nieinteresującej“. A moda? Raz na pół roku należy zmienić definitywnie sylwetkę, rozstać się z zupełnie jeszcze świeżymi sukniemi, z mnóstwem cennego czasu, spokoju i pieniędzy.

Skąd czas na to wszystko? (o pieniądze wolę nie pytać). Skąd siły? Przedłużyliśmy sobie teraz młodość — zarówno mężczyźni, jak kobiety — ale przecież nie przedłużyliśmy sobie życia. „Coś“ nie bierze się z niczego. Nic nie przychodzi za darmo. Czas i siły, zużyte na zaspokojenie ustokrotnionych wymagań życia, nie zostały wysnułe z nicości. Zostały odebrane czemu innemu.

Czemu? *Wewnętrznemu skupieniu. Życiu duszy.* Prawdziwie ważnym sprawom człowieczym.

Wir współczesności wysysa duszę. Czy ten szlachetny: nadmiar spraw społecznych; czy ten pusty i snobowaty: salon. Czy ten nieznośny i oglupiający: zmienność i tyranja mody kobiecej.

Na przestrzeni kilku lat można zaobserwować, jak ów wir wysysa treść z człowieka, niby sok z owo-

cu. Młody społecznik lub społeczniczka zaczyna od pracy w jednej instytucji. Jest pełen inicjatywy, energii, rozpędu twórczego.

Osiąga kapitalne rezultaty pracy. Powoli zaczyna go anektować instytucje inne, coraz liczniejsze. Nie odmawia. Jest pewien, że wystarczy sił duszy. Nie umie się bronić i nawet nie wie, że trzeba. Po latach pięciu, dziesięciu — inny człowiek. Wszędzie pracuje źle. „Odrabia kawalki“, biurokratycznie, kwaśniej, schnie. Cała energja, ongiś twórcza, idzie teraz na opanowanie techniki pracy: żeby nie zapomnieć, żeby zapisać, żeby się nie spóźnić. Tu być o 4-tej, tam o 6-tej, ówdzie o 8-mej... Co gorsza, wtedy dopiero pewien jest (lub pewna) swojej wartości społecznej, kiedy wartość ta przestała istnieć. Ambicją jego staje się należenie do wszystkich stowarzyszeń, posuwanie co godzina innej sprawy jednym palcem. Ale o idei żadnej z nich nie ma czasu pomyśleć. Żadna idea nie pogłębia treści jego duszy, on nie wzbogaca sobą żadnej idei. Stracił wewnętrzną rację pracy. Spełnia już tylko jej pozory. Zabija sobie duszę — nie karmi.

Dla kontrastu przypomnijmy sobie, jak potrafi czasem prosperować jakaś mizerna ochronka, jeśli ktoś jeden włoży w nią jedną całe swoje zainteresowanie społeczne i cały czas, który ofiarować może.

W życiu towarzyskiem dzieje się, rzecz prosta, o tyle gorzej, o ile ten rodzaj t. zwanego „wiru życia“ mniej jest wart od społecznego. Prawdziwie nudny jest dopiero ten salonowiec (lub ta), który wszędzie bywa, wszystkich zna, wszystko widział i wie. Bo

wtedy właśnie nie zdążył zobaczyć: nie ciekawego i nie wie nic, co wiedzieć warto. Nie zostaje ani przez chwilę sam ze sobą, żeby odetchnąć, schwytać choć odrobinę treści własnej, choć krztę pożywki dla duszy. Zwietrzył, jak otwarte perfumy. „Właśnie wracam od państwa X., za pół godziny mam być u państwa Y.“ — tyle tylko zdoła powiedzieć — i znika, nie zaspokoiwszy ciekawości słuchacza, poco właściwie przychodził.

Natomiast, czy może być coś rozkoszniejszego, jak niespodziewane spotkanie w towarzystwie jakiegoś — (znajdźmy coś typowego) — starego botanika lub młodego filozofa, który wpadł tu niechcący, z musu, na chwilę, prosto ze swojej mysiej dziury, albo pustelniczej wieży; rozgadał się tak uroczym, tak po swojemu, tak niezapomnianie, aby za godzinę znowu zamknąć się w sobie, zamyślić, spojrzeć na zegarek i zniknąć bez pożegnania, zostawiając po sobie czar duszy, niby oddech gór.

A już kobieca służba wirowi mody — cóż tu mówić! Wszyscy znamy to charakterystyczne spojrzenie, jakim modna pani obrzuca i natychmiast kwalifikuje spotkaną kobietę. Już wie. Już ją zna. I nawet nie patrzy na zasadniczą linię lub barwę — to byłyby wymagania zbyt prymitywne — nie: liczy i mierzy drobiazgi, szczegóły, tak zwane wyrafinowanie. „Chusteczkę za bransoletką nosiło się przecież dwa miesiące temu, ale jakże można — dziś?“ „Lisa kładzie się przez ramię, nie na plecy — horrendum!“

Oto światopogląd zamknięty, jak zero, doskonały, niezmacony. Ileż sił i czasu trzeba było odjąć od spraw prawdziwych, żeby się aż tak wyspecjalizować w kanonach, wtajemniczyć w zabobony — wysuszyć w sobie wszelkie żywe zainteresowania pięknem!

To jeszcze węższa klatka duszy, niż społecznikostwo, niż salonowość, ale również spleciona z włókien wiru życia, rozbudowy jego wymagań i potrzeb.

Specjalnych słów kilku wymaga najbardziej charakterystyczny chochlik owego wiru, czarodziej-ska skrzynka współczesności, pocziwy a jadowity, miły a nienawistny, nieodzowny a zabójczy — telefon.

Telefon jest symbolem tego, jak obca zewnętrzność zapanować może nad najistotniejszymi, najpoważniejszymi sprawami człowieka, oraz jak bardzo ludzie są niewolnikami własnowolnej rozbudowy życia i służących ku temu narzędzi. Czasem uratuje życie — ile też, ile razy je zatruje i przez to skróci?!

Ktoś, na przykład, zasiada do biurka i zamierza pisać, albo do fortepianu i zamierza popracować nad muzyką.

Nagle telefon: Możeby pan (albo pani) zorganizował walkę z komarami w swojej dzielnicy? Akcją przedwyborczą, albo kursa obrony przeciwgazowej, albo przedświąteczną zbiórkę odzieży? — Tylko tyle. Po chwili: Odbywa się zjazd stowarzyszenia X. — sprawy pałace.

Za kwadrans: Zebranie rady szkoły, do której uczęszczają Pani dzieci — nie można nie przyjść.

Potem: Rozprzedać 10 biletów po 15 złotych, bo inaczej obrazi się najbliższa ciotka.

Wreszcie: Zebranie dawnych wychowanków pewnych kursów — czyż można zlekceważyć wspomnienia młodości?... i t. d.

Jeszcze: Przyjaciółka: Rozplanowuję ogródek, przyjdź pomóc. — Jakże można odmówić?

I jeszcze: Młoda osoba z prowincji: Tak dawno szuka posady — i nic. Czyżby więc nie dało się zrobić?...

Na zakończenie: Mało znajomy pan: Do kogo należy się udać, ażeby?... — i tak dalej.

Koło dwunastej: Młody grafoman: czy mógłby prosić o przeczytanie pewnego rękopisu? — Detal: sześć kajetów (pisanych ręcznie — i niezręcznie).

Tak, koło dwunastej. Przepadły trzy godziny, jedyne trzy godziny, przeznaczone dla własnej, twórczej pracy; reszta dnia była już bowiem zgóry przeznaczona na pożarcie. Oto zwykły ranek lub wieczór niejednej i niejednego z nas.

Naturalnie, mógłby ktoś zauważyć, że najprostszą radą na telefoniczne przesładowania jest wyłączenie aparatu na czas pracy. Otóż nie. W wielu wypadkach jest to niemożliwe, choćby wtedy, gdy dzieci, zwłaszcza małe, znajdują się poza domem. Poza to, przecież prawie codziennie oczekuje się jakiejś wiadomości telefonicznej ważnej, własnej, z dziedziny obchodzącej nas naprawdę. Telefon jest przecie znakomitą pomocą, dopóki mówi o sprawach, *leżących na linii naszego własnego życia*. To też nie chcemy go się wyrzec. Chcemy się tylko bronić przed nawalem żyć cudzych.

W mózgu huczy od ciągłego zmieniania tematów myśli. I dusi gniew. Gniew na złoczyńców i gwałcicieli. Jakiem prawem okrada się człowieka z jego prawa do samego siebie? Z paru godzin nieprzerwanej, jednolitej, spokojnej myśli — *ze skupienia* — *z życia duszy*? Z życia, które chce i musi mieć linię własną, odrębną, ustaloną dla siebie. Z paru godzin *wzruszenia lub zamyślenia* — *najplodniejszych zajęć na świecie*.

Każda z cudzych spraw jest dla kogoś ważna — ale jest cudza. Jakże puste trzebaby mieć życie, żeby wchłonąć tyle obcej treści! A cóż ma się stać z tem, co już bez reszty wypełniało czas poprzednio? Ma dać się wciągnąć w „wir życia“ przez czarny lejek telefonu?

To są drobiazgi — powie mi ktoś. Może. Ale piasek też potrafi zadusić. Niekoniecznie trzeba skały. Przez te właśnie „drobiazgi“ większość ludzi miast żyje w chaosie, z nieustannym zawrotem głowy, z poszarpanymi nerwami. Przez te „drobiazgi“ większość nie dokona nigdy nic ważnego, ani dużego, bo co chwila przykładą rękę do innej sprawy, jak ucho do słuchawki telefonu, śpiesząc zadość uczynić niena-

syconym, ustokrotnionym wymaganiom rozbudowanego życia współczesnego.

Nie zamierzam doprowadzać myśli do absurdu. Zarówno manja społecznikostwa, jak przerost życia towarzyskiego, jak tyranja mody i wreszcie to nieodzowne a nieznośne narzędzie: telefon — są tylko ilustracjami, użytymi, jako *pars pro toto* dla zwrócenia uwagi, jak bardzo życie współczesne szarpie, rozrywa i wyjaławia człowieka.

Ale wystarczy zyskać tę świadomość, żeby poczuć potrzebę obrony. Nie pozwolić okradać siebie z czasu, nie okradać z niego bliźnich. Nie pozwolić rozrywać i mącić jednolitości i ciągłości swoich zainteresowań i pracy. Nie czynić tego innym. Spróbo-

wać kultywować skupienie, długie, spokojne zamyślenie, świadomą medytację. Tem uparciej, im natargywiej odbiera nam ją otoczenie. Ta obrona nie odbierze zdolności do konkretnego życia. Stworzy tylko jego jednolitość, a co za tem idzie — owocność i wartość. Brońmy się od życia „w kratkę“! Od dzielenia dni na kwadransy. Ten podział niesłusznie uważany jest za zdobycz nowoczesności. Jest to jedna z jej największych plag. Poszarpanie czasu, fragmentaryczność przeżyć, zdyszenie dni i lat, zdaje się być jakgdyby zemstą jakichś — może pogwałconych — sił natury za szybki rozrost wiedzy, techniki, postępu...

Rozproszkowana potęga człowieka przestaje być potęgą.

Stanisława Kuszelewska.



KTO NAPISAŁ „MALWINĘ”?

1)

„Malwina czyli domyślność serca“. Sensacja była niesłychana, wiadomo. Sześć, czy ośm pań zemdlało ze wzruszenia na herbatce u którejś ministrowej warszawskiej w czasie głośnego odczytywania najświeższego romansu. Mędrzec wileński, człek zimny zresztą i suchy, odwrócił na chwilę oczy od gwiazd i poraz pierwszy w życiu przeczytał powieść.

Adam Mickiewicz rad był również zapoznać się z sensacją, chociażby dlatego, że to siostra księcia kuratora. Więc błaga z Kowna filomatów wileńskich, aby się postarali o egzemplarz. „Malwiny i tak dostać nie mogłem, jednego tylko Tassa posyłam“ — usprawiedliwia się zaraz Fr. Malewski w liście z lutego 1821. A wkrótce później pisze: „Faust, Faust! Malwiny nie mogę dostać. Trembecki leży“.

Towarzystwo więc niezłe: Tasso, Trembecki i ks. Marja z Czartoryskich Wirtemberska. Nie wiemy wszakże, czy Adam Mickiewicz poznał wtedy ten najciekawszy wyraz polskiej mowy miłosnej przed „Dziadami“. O egzemplarz było bowiem coraz trudniej. Panie z całej Polski zaczytywały się bezpamięci. Dlatego tyle dziś defektów roztrzęsionych ze zdartejmi okładkami.

Drugim powodem, który powiększył rzadkość „Malwiny“, były — łyzy. Obowiązkowy atrybut każdej „czulej“ lektury. Więc nieliczne białe kruki pierwszego wydania, do dziś zachowane, mocno zażółkły i podbutwiały. Łzawnice Księstwa Warszawskiego.

Malwina jest prababką nowoczesnej powieści polskiej i uroczym, najpowabniejszym prymitywem. Oblana sownie rosółem Wertera i Heloizy, wzięła sobie w ślad właśnie za Russem prawo mówienia o so-

bie i stworzyła powieść autobiograficzną. Można sobie wyobrazić wysoką temperaturę sensacji, gdy się paniusie o tem zwiedziały: Księżna-pani, ta, co to tak tragicznie i „musowo“ wydana została za obwiesia, któremu nawet Konstany ręki wolał nie podawać — pisze o sobie!

Nie myślę tu uwydatniać szczegółowo znaczenia *Malwiny*. Uczynili to już dawniej, równie wnikliwie, jak i sprawiedliwie, Konstany Wojciechowski, Juljusz Kleiner i Wacław Borowy. Ten ostatni powiadał tak: „Dorobek dawniejszych pisarek błędnie wobec *Malwiny*. Można też śmiało powiedzieć, że w zakresie psychologizacji powieściowej bliżej od *Malwiny* do p. Rygier-Nałkowskiej, niż od Drużbackiej do *Malwiny*“.

A nawet i dziś ostoi się. Dałem raz ten utwór do rąk nic o niczem nie wiedzącej czytelniczki groszowej. Sarkała trochę, że staroświeckie i naiwne, ale przecie musiała poddać się urokowi intrygującej fabuły, pełnej tajemnic i niezwykłości.

Więc, kto napisał *Malwinę*? Naturalnie, księżna Marja Wirtemberska. Rzecz wyszła z druku w r. 1821 anonimowo, ale w miesiąc później wiedzieli wszyscy. Otóż miałem zawsze wątpliwości co do tego, czy to ona tak wszystko od początku do końca po polsku napisała. Bo przecież są w „Malwinie“ wielkie finezje stylistyczne i przeróżne, frapujące dziś fachowców, migdały formy.

A córka księcia generała ziem podolskich stylistką polską chyba nie była. Nawet nie mogła nią być. I tak zresztą cudownie dawała sobie radę z językiem, którego używać przecie nie godziło się w przyzwoitem towarzystwie. Z listów jej, o ile są dosłowne, wi-

dać dobry impet i czucie polszczyzny. Ale to daleko jeszcze od kunsztu powieściopisarki. Córka Sybilli z Puław władała językiem polskim w piśmie, powiedzmy, tak, jak dziś kulturalny polak włada francuskim. Napisze list, ale nie powieść. I to znakomita.

Otóż tym moim, niewyrażonym wątpliwościami przyszedł niespodzianie w pomoc przekaz współczesny. Było tak: Michał Wiszniewski, przygotowując swą monumentalną historję literatury, wpada na dobry pomysł: zwraca się mianowicie do żyjących jeszcze znakomitych pisarzy z epoki klasycyzmu i zadaje im pytania z zakresu ówczesnej literatury. Tak między innymi dosięgnął starego już Franciszka Wężyka. Wężyk, pisarz, wiadomo, dzielny i klasyk znakomity, odpowiada osobnym elaboratem. Pisz tam między innymi:

„Cóż rzec o Polkach, które najczęściej wyrokowały o płodach dowcipu? Wszak żadna z nich nie umiała po polsku. Księżna Wirtemberska pisała po francusku *Malwinę*, a przekładał ją nietęgi w ojczystym języku Maksymiljan *Fredro*“. (Zob. Fr. Wężyk: Korespondencja z M. Wiszniewskim — wydał L. Bernacki, Lwów, 1927). Wiadomość znajduje się na str. 9, powtórzona następnie obszerniej (str. 18): „Panna Tańska i księżna Wirtemberska należą także do puławskich znakomitości: pierwsza tylko w tym przybytku smaku, moralności i patryjotyzmu Polskę widziała; druga, mając dość wyobraźni, pisała swój romans po francusku, który jakiś nietęgi Polak na język ojczysty wyłożył. Dwie te żeńskie gwiazdy przechodziły nieraz koło piszącego, lecz nie miał on sposobności zbliżyć się do nich, by im hołdował“. (Kraków, 11 maja 1840).

A więc to *Fredro* „wyłożył“ *Malwinę* na język ojczysty. W prawdomówność rzetelnego staruszka wątpić niema powodu. Ważył wszak każde udzielone potomności słowo. I wygląda to też dość prawdopodobnie. Bo trzeba wiedzieć, kto był ten Maksymiljan *Fredro*. Czwartym *Fredro*, jak go kiedyś nazwałem. Piękniś i szalapat zawołany, a talent wcale ciekawy. Adjutant najpierw ks. Józefa, później „fligeladjutant“ Aleksandra I, wreszcie marszałek dworu Królestwa Polskiego z siedzibą w Warszawie. Ożeniony z Rosjanką Gołowinówną, zczasem znakomitą Polką w Warszawie Kongresowej. Żona słynęła z brzydoty i kultury, mąż z lekkiej ręki w wydawaniu pieniędzy i niebyle talentu, który, gdyby nie wielka sława brata rodzzonego, Aleksandra *Fredry*, błysnęłaby pewnie i szerzej i dobitniej.

Kiedyś, za akademickich czasów, pisałem komuś we Lwowie rozprawę magisterską o tragedjach owego Maksymiljana *Fredry* (Lipsk, 1837). Tu niechaj wystarczy wzmianka, że jego właśnie pióra był słynny bezimienny „Harald“, typowo romantyczna tragedia, który, wystawiony w r. 1827 na scenie warszawskiej, stał się na kilka miesięcy ośrodkiem walki między klasykami a romantykami, a zasłużył na wysoką pochwałę Maurycego Mochnackiego. Tak! Mochnac-



Füger F. H. (1751 — 1818). Marja z ks. Czartoryskich księżna Wirtemberska w młodości (Muzeum Czartoryskich w Krakowie).

kiego; w recenzji z premjery nazwał on brata poety „Zemsty“ mistrzem. Więc nie dziw, że twardy, chociaż dobrotliwy klasyk, Wężyk, gromi mistrza za „nietęgość“ w ojczystym piórze.

A skąd temu *Fredrze* do *Malwiny*? Droga niedaleka, a nawet bardzo bliska. Maks. *Fredro* był człowiekiem Puław. Rósł, pisał i bawił się w atmosferze domu Czartoryskich, jeden z najbliższych zaufańców dworu Sybilli. Dużo o tem wiadomości w pamiętnikach współczesnych (szczególnie Leon Dembowski i A. E. Koźmian). Ale nie koniec. Ulubieniec starych księżnych państwa bliski był szczególnie sereu autorki *Malwiny*. W jej listach ciągle deklinacje: *Fredro*, *Fredry*, *Fredrę*, w *Fredrze*. To mi kupisz, tu pojedziesz, tamtą książkę sprowadzisz, czy przeczytasz. A pozatem miłość, podobno okrutnie wzajemna. Ale napróżno szukać jej szczegółów. Córka zmieniła fason zupełnie. Już inne czasy. Matka, Sybilla z Puław, rada była rozkrzyzczyć każde swe *liaison* każdemu miastu i całemu światu. Miłowała zresztą poprostu i bez umartwień. Fizjologicznie. Nieszczęśliwa księżna Marja, może odstraszona przykładem matki, a może z własnego pod wpływem mody nawyku, gubiła znakomicie końce swych uczuć w wodzie. I samą siebie przy tej sposobności. Wogóle było dużo niezakłamanego dramatu w życiu tej kobiety. Wydostawszy się raz z pęt potwornego małżeństwa, w które wepchnęła ją pycha mamusi, już nigdy nie umiała, czy nie chciała spróbować po raz drugi.

Stanisław Wasylewski.

W SZPITALU

1)

Pannie Zosi Saraniemskiej...

— Pani czwarta, czy pani śpi?

Panna Zosia odwróciła głowę ku sąsiedniemu łóżku:

— Nie, przecież otrutka tak krzyczy...

— Nikt z nas dzisiaj spać nie będzie — westchnęła pani piąta, sąsiadka panny Zosi.

Nazwy te: „pani czwarta“, „pani piąta“, pochodziły od numerów łóżek, zajmowanych przez chore. Nazwisk w szpitalu nie używano. Szpital — to od-rębny, samoistny świat, wyspa na oceanie życia wielkiego miasta.

Białe, długie sale, rzędy łóżek; na ścianie, u wejścia, tablica z napisem: „Bóg na nas patrzy“. Pod ścianą ukwiecony ołtarzyk, mrugający liljowem światłem, jedyna pociecha tych, co odchodzą. Doktor — najwyższa instancja: pan w białym kitlu, poważny, jak sama nauka, cierpliwy „do szaleństwa“, nie wierzący z zasady temu, co opowiadają chore o swych dolegliwościach, kreślący recepty, jak wyroki — a jednak życzliwy.

Panna Zosia, leżąca od sześciu tygodni w szpitalu, a licząca zaledwie lat dwadzieścia cztery, skracała sobie ten czas, wydarty życiu, rozmaitemi „robótkami myślowymi“. Usiłowała przeniknąć światek szpitalny, a przede wszystkim „rozłupać“ nieposzlakowaną głowę doktora, wysiłkiem myśli odgadnąć, co kryje czaszka: czy kocha bliźniego, jak siebie samego, i dlatego dotyka tych udręczonych, schorowanych ciał? czy też czyni to z obowiązku, lub dla pieniędzy jedynie? czy z tajonem zawsze obrzydzeniem i niechęcią?

Wydało się jej wreszcie pięknego poranka, że rozwiązała zagadkę. Oto doktor w szpitalu „kochał ludzkość z taktem“, w myśl sentencji i nakazu wielkiego Konfucjusza. Więc może nie tak żarliwie, jak nakazywał Chrystus, lecz niewątpliwie tak dostojnie, jak to polecała stara chińska kultura. Nie Zosia wytoczy mu o to kwestję. Kto potrafi lepiej — niech zrobi lepiej.

Drugą ważną osobistością na sali szpitalnej była Siostra. Zaledwie ją Zosia ujrzała po raz pierwszy, już uczuła dla niej głęboką wdzięczność za to, że była taka proporcjonalna. Na jej przesłicznie zakreślonej i doskonale odmierzonej w szczegółach postaci, oko widza odpoczywało z rozkoszą, jak ptak na kwitnącej gałęzi. Ale Siostra była zagadką, większą bodaj jeszcze, niż doktor, i myśl Zosi podchodziła do niej ukradkiem i podstępnie, przez wiele dni i godzin, aby odcyfrować tajemnicę białego kornetu.

Siostra była piękna, i bez względu na to, czy miała lat trzydzieści, czy czterdzieści, co wymykało się kontroli oka, była niewątpliwie w wieku wielkich namiętności. Wyglądała, jak ta śniada, hiszpańska panna, zakonnica klasztoru Engrazia, której tragiczną śmierć samobójczą, od pchnięcia sztyletem w serce, opisuje Żeromski w „Popiołach“.

Ach, nie! nie widziała Zosia nigdy, na jakimkolwiek rysunku, cienia tej dumnej hiszpanki, ale miała niezbitą pewność, że tak właśnie, tak, jak Siostra Wiktorja, wyglądać musiała tamta zakonnica: śniada, ściągła twarz, niewysłowiony czar brwi i oczu i rysy zastygłe w wyrazie bólu i dumy.

Zresztą oblicze Siostry Wiktorji nie wyrażało może bólu, raczej tylko żarliwość i dumę. I w tem był sęk, bo piękna szarytka była przeraźliwie oschła.

Opatrywała sama, z tą dumną i żarliwą twarzą, ohydne odleżyny i ropiace, niechzące się zagoić rany. Często bez słowa spełniała czynności, które były obowiązkiem posługaczki. Troskliwie, bacznie spojrzeniem obiegała salę, chcąc się upewnić, że wszystko w porządku; ale nie uśmiechnęła się nigdy. Nie mogła się uśmiechnąć. Nawet, gdy mówiła do chorej, słowa jej były zimne, jak groszaki, rzucane żebrakowi.

Kiedyś, nie wierząc własnym oczom, ujrzała Zosia ze zdumieniem, że Siostra Wiktorja pogłaskała jedną z chorych po głowie. Zaszczyciona tem wyróżnieniem kobieta miała twarz szpetną i degeneracką, ruch zaś Siostry był niesłychanie szybki i wstydlivy. Tak szybki i wstydlivy, że aż komiczny. Zosia zrozumiała, że Siostra spełniła akt chrześcijańskiej miłości nad tem potwornem biedactwem i pożałowała, że jej złoty, puszysty warkocz jest za ładny...

Bo od siostry Wiktorji zawsze się czegoś chciało w głębi duszy: żeby była na sali i żeby sobie wkońcu poszła do kaplicy, czy refektarza... żeby się odezwała, żeby się uśmiechnęła... Ale nie uśmiechnęła się nigdy.

Zosia wiedziała, że nie wszystkie Siostry w szpitalu były „takie“. Opowiadała jej jedna rekonwalescentka z sąsiedniej sali, że siostra Marta była prze-miła i hojnie rozdawała żałośnie numerowanym paniom swoje bogate serce w uśmiechach i dobrych słowach. Do niej, na przykład, mawiała na dobranoc: „Spij spokojnie, malutka...“ Kamienny lew, siedzący przed Ministerstwem Spraw Wojskowych, ryknąłby prędzej, niżby przemówiła tak Siostra Wiktorja.

Zosia uwielbiała ją bez wzajemności, jak uparty sztubak. Czasami wymyślała jej w duszy najordynarniej, jak mogła, to znaczy niezbyt jednak ordynarnie, bo choć samotnie przedzierająca się przez życie, była panną „z dobrego domu“. Nie powiedziała nigdy „psia krew“, chyba bardzo cicho i to na środku Wisły, gdy jej wioselko w łódce wyskoczyło z żelaznych wrębów. Ale o tem potem.

Patrzac tedy na Siostrę Wiktorję, myślała sobie:

— Ej, jeżeli ty jesteś ta z Saragossy, to musiałaś ty chyba „skłać“ porządnie przed śmiercią naszych biednych, rozwydrzonych żołnierzyków, skoro urodziłaś się teraz w Polsce i mazurskim babom odmierzasz krople i pigułki...

Ale złośliwości te, wypracowane w myśli pod adresem szarytki, nie sprawiały ulgi Zosi, ani też nie dotykały widomie Siostry. Niewrażliwa na telepatyczne prądy, snuła się po sali, zapatrzona w recepty i zaświaty.

Aż wydało się Zosi raz, podczas pacierza, że dojrzała prawdę na twarzy zakonnicy. Siostra „celebrowała“ i z oblicza jej spadła maska dumy. Stało się jasnym, że kochała Pana Jezusa. Kochała Go miłością tak pełną żaru, że prawie ziemską i tak mistyczną, że nie już po za Nim na ziemi kochać nie mogła. Chmurny wyraz twarzy był tylko zasłoną tej rozdzierającej tęsknoty, w jakiej trawiła się jej dusza, gdy musiała odchodzić od Niego do spraw codziennych, właśnie w imię tej miłości spełnianych. Usta, stwardniałe od szeptanych antyfon, nie miały uśmiechu dla nikogo, bo wszystko, co było słodyczą i miłością, spłynęło w jeden strumień mistycznego uczucia do Oblubieńca. I nic nie miała już nikomu do ofiarowania — biedna i ze wszystkiego odarta w imię swego jedyne- go umi-

łowania. Zimny, oschły manekin opatrywał rany i zamykał oczy umarłych.

Stanowczo, w szpitalu było za dużo miłości. Nigdy Zosia nie widziała jej tyle na raz. Prawda, sama miała jeszcze matkę, zamieszkałą zdala od Warszawy, na wsi, u zameżnej siostry. Kochała ją serdecznie, ale miała jeszcze tyle zainteresowań w życiu! Lubiła swoją pracę w biurze i genialne skrót Code'u Peterson'a, przy którego pomocy oszczędza się dużo pieniędzy na transatlantycznych depeşkach. Lubiła swoje doskonale ćwiczone, sprawne mięśnie i samotne wycieczki łodzią po Wiśle w ciepłe popołudnia letnie i słoneczne niedziele. Lubiła też czytać, mieć ładnie urządzone pokój i dobrze uszyte suknie. Lubiła porządek i równowagę. Wiedziała, że melancholja jest wynikiem spożycia czegoś niestrawnego, a tchórzostwo — kwestją niewyspania. Aforyzmy jej można było śmiało wryć na marmurowych płytach. Po latach stu, a nawet dwustu, miałyby jeszcze pewien blahy, ale niezniszczalny sens i posmak wytwornej kobiecości.

Pudrując więc noskę przed wielkim lustrem szatni biurowej, mawiała Zosia niekiedy do koleżanek: — Przykro jest nie móc być elegancką kobietą... — albo:

— Życie nieestetyczne nie jest życiem...

Wierzyła też święcie, że tak, jak Petronjusz, nie potrafi istnieć bez zapachu fiołków.

Mężczyźni nie odgrzywali w jej życiu wielkiej roli. Niedłatego, żeby miała zamiar siać rutę do śmierci, ale poczęści dlatego, że jej się jeszcze nikt naprawdę nie podobał, a także z przyczyny podświadomego lęku, że gdy taki pan ostatecznie się znajdzie, trzeba będzie wszystko przestawić i przebudować w tem, co się nazywało właśnie jej życiem. Ach, miała dopiero lat dwadzieścia cztery i mogła czekać. W zasadzie chciała mieć męża i przynajmniej jedno dziecko, ale czuła, iż musi wyjść z małżeństwa z miłości, bo w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że uciekła by od tegoż męża z wędrownym grajkiem, a przy jej zasadach?... mój Boże!...

W szpitalu było za dużo miłości. Wogóle Zosia nie wiedziała, że jest jej aż tyle na świecie, w codziennym obiegu.

Do chorych przychodziły często ich rodziny, z rękami pełnymi darów. Jacyś mężowie odwiedzali z zafrasowanymi twarzami swoje niepiękne małżonki, gładzili je spracowanymi rękami po policzkach i wysiadali całymi godzinami przy ich łózkach, szepcząc coś z przejęciem, jak kochankowie. Dzieci drobne i dorosłe odwiedzały matki, synowie poprawiali im poduszki i karmili je pomarańczami, a córki miały dla nich gesty tak miękkie i łagodne, jak dla swoich własnych niemowląt.

Zosia była najmocniej przekonana, że miłość jest przywilejem i niedolą klas wykształconych i nie mogła się dość nadziwić temu, na co patrzyła codziennie jej oczy. Młode „otrutki“, ofiary zawiedzionych miłości, zwierzały się zwykle sąsiadkom ze swoich „piekielnych udręczeń“, tak że znów do uszu Zosi dochodziły echa sentymentalnych dramatów. Dziewczęta te były biedniejsze od legalnych małżonek i matek. Kochankowie nie odwiedzali ich wcale. Przyjmowały one tylko wizyty policjantów. Ci przedstawiciele władzy, wytworni, jak trawestowani książęta Walji, zasiadali

z blok-notesami przy łózkach dezerterek życia, zapisywali skwapliwie zeznania, zadawali tajemnicze pytania na ucho. Tak się przynajmniej wydawało Zosi. Potem z wyrazem urzędowego, acz nieklamanego współczucia, uśmiechali się promiennie i odchodzili. Polscy Bobby. Jakże słusznym jest, że morderca ponosi karę śmierci. W Polsce powinno być to samo.

Zosia, w miarę przeciągającego się pobytu w szpitalu (serce nadwyrężone sportowymi wyczynami domagało się gruntownej kuracji), coraz bardziej przekonywała się, że nie ma pojęcia o życiu. Wszystko było dla niej niespodzianką. Myślała też ciągle jakimiś utartymi formułkami i robiła literackie porównania.

Jedna z chorych fascynowała ją silniej, niż inne. Była to wielka, siwa pani. Ani wiek, ani czająca się do skoku śmierć, nie mogły zetrzeć jej trwałej, nie chcącej ustąpić urody. Dogorywająca Junona — tutaj tylko „pani dwudziesta szósta“. Odwiedzało ją czasem kilka zameżnych córek, niepozornych i brzydkich, a Zosia frasobliwie zachodziła w głowę, z kim też taka dama mogła mieć tyle szpetnych dzieci? Bo jakże piękną była sama! Że należała jednak do klas inteligentnej, nie czuło się dokoła jej łoża takiej miłości, jaka otaczała wezglowia innych, prostych kobiet. Zosia stwierdziła to ze smutkiem. Córki przychodziły rzadko, przyprowadzały jej wnuczeta. Otwierała zlekka wielkie, w najpiękniejszy kształt wycięte oczy i coś mówiła. Słów nie dostyszała Zosia nigdy, ale o uszy obijał się jej głos, niski, tragiczny, już osłabły.

W dzień siadywała wsparta o wysoko ułożone poduszki i drzemiała. Zawiazana na głowie biała, obowiązuca w szpitalu chustka zsuwała się wtedy cudacznie z uszów i przybierała nad czołem kształt czapeczki. Wyglądała, jak stara hrabina z „Pikowej Damy“. Nasunięte chmurnie brwi podkreślały tragizm starszej szczęki. Mimo to, wydawało się Zosi, że dama otworzy zaraz usta i zaśpiewa tę pieśń tajemniczą, wyrwaną gdzieś z piekła czy nieba wspomnień, tę arję kontraltową:

„Je n'ose lui parler la nuit,
J'écoute trop ce qu'il me dit...
Il me dit: je vous aime...“

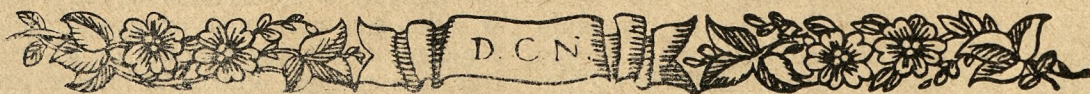
Gdy umierała pewnej nocy, w pobliskim Luna-Parku waliły rakiety, jak triumfalna salwa. Można było myśleć, że w innym, lepszym świecie, rodzi się właśnie dawno upragniona, królewska córka, witana armatniami strzałami.

Hałasy takie w pobliżu ogrodu zoologicznego w swoim czasie zanadto drażniły uwięzione tam lwy i tygrysy, więc Luna-Park przeniesiono w sąsiedztwo szpitala. Rakiety torują umierającym drogę w wieczność...

O. Magistracie! zaiste ojcem jesteś...

W dwa dni po śmierci pani „dwudziestej szóstej“, zwariowała „pani trzecia“, sąsiadka panny Zosi. Wypadek rzadki. Przyszła do szpitala chudziutka i drobna, krzyczała głośno, skarżąc się na jakieś bóle wątrobiane. Zgromadziła przy swym łóżku lekarza i asystentów, poczem zamilkła na trzy dni. Czwartego zaś dnia o godzinie dziesiątej wieczorem zmarła.

S. Borowska.



FELICJA KRUSZEWSKA.

FRAGMENTY LISTÓW DO SZPITALA

DZIENDOBRY, NAJMILSZY

Te słowa —
Uszy troje ich nie dosłyszają.
Bóg dobry odejmie im mowę,
staną się ciszą.
Cisza cię kręgiem otoczy,
chłodne palce połóży na oczy.

TO WESTCHNIENIE

Bóg je weźmie w Swoe dłonie
i połóży na gęste powietrze.
Wiatrem miękkim ci przewieje po skroniach,
wiatrem pot z czoła ci zetrze.
Już nie będziesz koldry szarpał i spychał.
Będziesz równo, będziesz lekko oddychał.

MYSŁĘ DUŻO

Bóg myśl we łzach odszuka,
z łez obetrze, uszczęśliwi lotem.
Skrzydółkami cicho w szybę zastuka
i ucieszy cię wróblim świegotem.
Uśmiechniesz się, choć nieprzytomnie,
i pomyślisz, pomyślisz o mnie.

2.

O, dobranoc. Staję myślą na progu —
Ty się nie bój tej nocy, Jedyny,
bo ja nie dam dzisiaj zasnąć Bogu,
aż wymodlę snu dla ciebie godziny.

Prosić będą za mną dobrzy anieli
i pozwoili wreszcie Pan Bóg wzruszony
z tobą — mnie, tak śmiertelnie znużonej,
snem, jak skarbem się jedynym podzielić.

Zaśniesz, zaśniesz i o bólu zapomniesz,
już nie będziesz się skarżył nikomu,
nawet mnie, gdy w śnie krótkim, bezdomni,
odnajdziemy się, jak w wspólnym domu.

PARYSKA SARDANA

(od specjalnej korespondentki)

Sardana, narodowy taniec kataloński, polega na tem, iż znajomi i nieznajomi wiążą się w krąg, ręce sobie kładąc na ramiona. Zharmonizowane ich ruchy płyną tą samą melodją, czasem tylko ktoś silniej zadręga i innych za sobą pociągnie.

Wydaje mi się, iż cały Paryż tańczy sardanę, owija go taneczne koło, zakreślone promieniem wielkości miasta, a rolę pojedynczych osób, żywsze nadających tempo, zastępują zbiorowiska: kawiarnie, cours de danse, boity, dancingi i publiczne sale balowe. Prywatnych zabaw bardzo mało. Raz, że Reboux w swem nowem savoir vivre wyśmiał przestarzałość tej formy przyjąć, a po drugie, pan prefekt Chiappe, bardzo dbający o spokój powierzonych sobie snu, zaordynował nocną ciszę.

Dla przedwojennych piękności zawrotny wir walca piekłem był i rajem. Dla dzisiejszej kobiety taniec jest miłym ćwiczeniem gimnastycznym, potrzebą higieniczną, zabawą towarzyską, złudzeniem silnych wiek kręcą się najczęściej w podziemiach Paryża.

Subtelny mężczyzna kobietę, szukającą przyjemnych ram, zaprowadzi do bar-fumoir w kawiarni Berry, na Pola Elizejskie. W zaciszu, do którego głos miasta, jak szum fal, dochodzi, jest się jakby na wielkim statku, płynącym wprost przed siebie. Uprzejma służba buduje osobny kącik, wielki fotel dla ciebie przysuwa, mniejszy dla niego. Odgradzeni od innych pasażerów, mówicie cicho, pijecie coś równie słodkiego, jak mocnego.

Igiełka na płycie gramofonu rysuje pas tango. Narysuje je i ty na perskim dywanie. Posłuszna bądź przewodnikowi, gdy delikatnym dotknięciem twoich pleców daje znaki. Cofaj się w głąb sali... teraz profil... a teraz kołysz się na miejscu i suń znowu przyśpieszonym argentyńskim pas. Rozkaz! A wydaje się — bo w ciemnym jest ubraniu — że to on wiernym cieniem jasnej sukni...

Dzień cały starzy i młodzi na lekcjach prywatnych uczą się nowych tańców. Zbiorowe ich wieczorne ćwiczenia przybierają charakter zabawy na murzyńskim balu, przy ulicy Blomet: czarni, dla oczu białych, klasyczne już dziś wykonują drgawki; do Moulin Rouge'u (tylko w Warszawie wyobrażają sobie jeszcze, że orgje się tam odbywają — niema bardziej burżuazyjnej sali, niż ta) episyerzy ze wszystkich krańców miasta damy swoje przyprowadzają, aby po trudach tygodnia, rozerwały się w sobotę. W Caveau Caucasiem odbywają się opisy choreograficzne, nadające się do filmu. „Nuits de Tziganes“: w okolicy Bastylji, na Belleville'u, wszędzie tam, gdzie Paryż żargonowo Panam się nazywa, na balu Musette, przy dźwiękach akordeonu, inna idzie zabawa. Dawniej valse brune, teraz java jest apaszowskim tańcem. Z dymu „caporal ordinaire“, z oparu apéritiwów wysuwa się na ciasny środek baru typowa dla tego świata para. Ona ma accroche-coeur na czole, on nosi majcherek w kieszeni!

„Un soir à Panam“... Nie, każdego wieczoru krew się leje i lzy się leją. A także wieczoru każdego niesalonowe widzi się tu szczęście kochania...

Montparnasse wciąż lśniące posadzki ściele pod stopy etranżerek, żadnych zbliżenia się do malarzy wszystkich ziem. Granice jego wpływów i stanu posiadania bardzo się rozszerzają. Ostatnio na Porte d'Orléans otwarto nową kawiarnię — wkrótce będzie się mówiło: „polska kawiarnia“ i charlestonowało na „Akropolu“, wśród greków nie Homerowych, ani Eurypidesowych, ale w wesołym towarzystwie Lizystraty. Kawiarnię tę otwarto z nieznaną w dziejach montparnasowych rozrzutnością. Właściciel rozesłał artystom, dziennikarzom i swym rywalom-sąsiadom — dwa tysiące zaproszeń, na które przyszło trzy tysiące osób, gdyż każdy starał się „przemycić“ kogoś ze swej bliższej, (częściej — dalszej) rodziny. Zaproszono na puhar szampana, a dano — butelkę szampana, najlepszej marki Heidsieck, Monopole, Cordon rouge. Królewskie wróciły czasy, gdy na urodziny Delfina lud wino czerpał z fontan..

Kassandra nie wieszczyła krachu na giełdzie, bezrobocia, spadku cen; gdyby się nawet była odezwała, zagłuszylibyśmy ją okrzykiem „Evoe, Baccho!“. Nikt też z biesiadników patrzeć nie chciał na tłum „wydziedziczonych“, oprawiających swe oczy w szkła szyb. Każdy rywal patrona pił za trzech, każdy artysta, któremu nie poruczono żadnej roboty przy upiększaniu ścian, pił za dziesięciu; od stolika do stolika same się robiły znajomości, znikła przestrzeń, jak uciekał czas; ręce sięgały po obce ciastka, jak usta uśmiechały się do nieswoich mężów.

To się nazywa dobra reklama! Od dziś będziemy tańczyli jedynie na Akropolu. Ale, co tańczyć?

Zmienia się moda: kobieta, stałe nosząca tym samym krojem uszytą suknię, w roku ubiegłym stała się ostatnim wyrazem estetyki; zmienia się blask gwiazd filmowych: wyszedł z Hollywoodu okólnik, iż tajemniczą Gretę Garbo zaćmić ma demoniczna Marlena Dietrich, której w Paryżu pozwolono śpiewać po niemiecku, jakby Sedanu nie było i Marny... Zmienia się też taniec; przed półtora rokiem w kon-

kursie światowym zwyciężyły osoby, które w pamięci i nogach wiernie zachowały melodję walca. Pas walca skreślić można w kręgu wielkości talerza. Ale walc nie jest w możności odpowiedzieć życiu, naprzód idącemu; idzie ono potrójnym marszem: wesoło-zdobywczym on-steepa, śmiałym rzucaniem się wtył i naprzód fox-trotta, a czasem jeszcze kuszącym krokiem tanga, kryjącego w sobie namiętności — silniejsze nawet od XX-go wieku, wyswobodzonego z niewoli uczuć.

Wciąż rodzą się próby uchwycenia nas w nowy rytm. Narodowy Syndykat Profesorów tańca i zawodowych tancerzy w sali zabaw Petit Parisien demonstruje różne pomysły. Ostatnio widziałam tam „La Nova“, która jest zmodernizowaną mazurką (nie mazurem); odtńczyła ją francusko-czeska lansująca ją para, rozdano objaśniające broszurki, wypito apéritif d'honneur, wkońcu zaczęła się nauka. Profesorowie w pierwszej chwili niezgrabni, jak uczniowie, już chwytają tempo, suną pas, najpierw sami, potem ze spotkaniami damami — tańczą „La Nova“. Jednak nikt się nie łudził, że istnieje coś nowego pod słońcem... Passo doblo zakończyło zebranie. Każda kobieta, córka najdalszej Północy, pragnie czasem mieć złudzenie, iż jest hiszpanką...

Największym na cały Paryż i na cały karnawał jest dobroczynny Bal des Petits Lits Blancs. Zdarzało się w latach ubiegłych, iż kobiety nie mogły pokazać pięknych strojów, specjalnie na ten wieczór pomysłanych. Po godzinie niecierpliwienia się w szatni wracały do domu. To też w tym roku liczbę biletów z 5-ciu tysięcy zredukowano do 4-rech. Niemniej zbyt pełno było w Operze i kto chciał dobrze chwycić ton zabawy, winien był zostać przy radjo; kto chciał ją dobrze widzieć, musiał nazajutrz pójść do kina, wyświetlającego aktualności wedle Pathé-Nathan. O ile się nie jest Prezydentem Rzeczypospolitej. Bowiem Pan Doumergue wszelkie miał ułatwienia — zapewne dlatego, iż poraz ostatni ojcowiskiem okiem objął tę salę. Wniósł do niej dobry Gastonnet zwykły swój uśmiech, tak znany z reprezentacyjnych filmów.

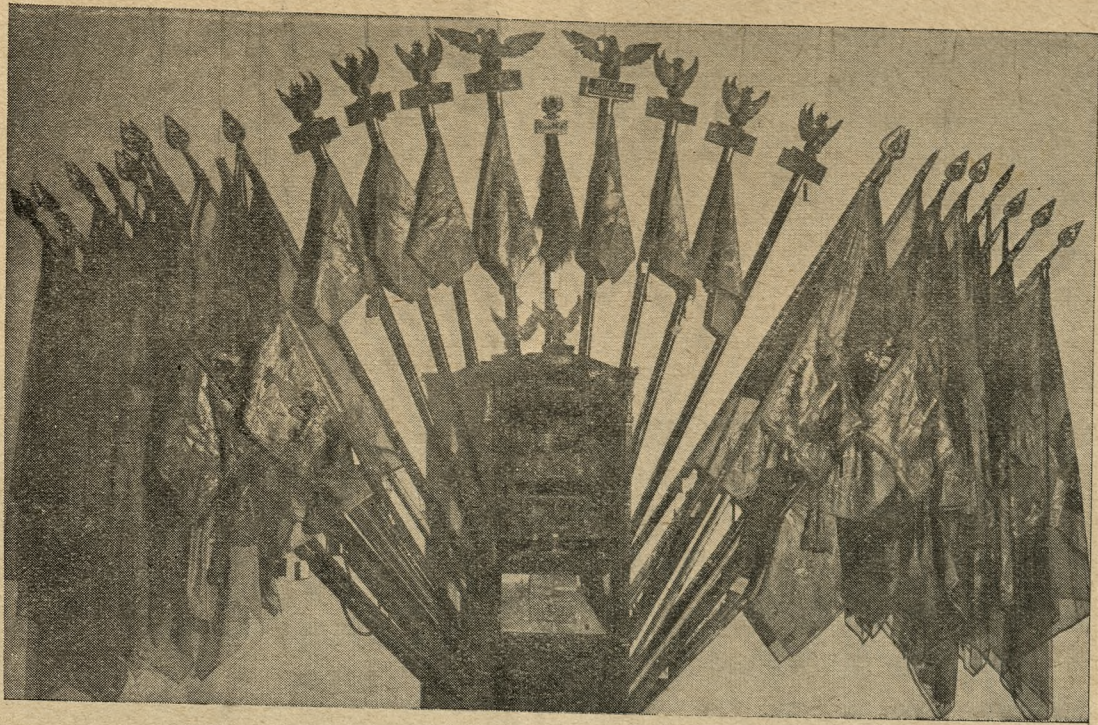
Kto zjadł na imieninach pani Marji Kastorskiej naleśniki — tradycyjne crêpes, przynoszące 2-giego lutego szczęście na rok cały — ten bez wahania powinien był kupić bilet za 250 franków. Opłacił się z pewnością, gdyż tombola zmuszona była ofiarować mu jeden ze swych większych darów: auto lub drogocenną kolję. Prócz tego, oczywiście, dostał kilka drobniaków, przez różne firmy wszystkim rozdawane: articles de Paris.

Darem zaś dla oczu jego były wybrane córy Europy; szły po srebrnym moście — nad salą, niby Niagara, przerzuconym — uśmiechem kupując głosy na jutrzejsze wybory. Choć wiadomo było zgóry, że tym razem zwycięży Francja.

Ostatnie nowości reprezentowali literaci: Collette długą suknię, Tristan Bernard kino mówiące, René Fauchois powietrzne połączenie Europy z Ameryką... Za nimi, po tymże moście przesunęły się teatralne wedety kobiece i męskie, białe, kolorowe i czarne — bo byli autentyczni mistrze jazzu i czekoladowa Józefina Baker. Bez pantery. Zostawiła ją w Casino de Paris, gdyż zdarzyćby się mogło, że w imię dzungli zwierzątko zaprotestowałoby przeciw zbyt cywilizowanym obyczajom.

Bal dał półtora miliona franków dochodu. Ukwiecone będą białe łóżeczka chorych dzieci.

Miasto dalej tańczy Sardanę. Dziś i gdy nadejdzie wielki post. Bowiem paryskie głowy uchylają się od popielcowego popiołu. *Aura Wyleżyńska.*



Sztandary i chorągwie.

WYSTAWA PAMIĄTEK POWSTANIA LISTOPADOWEGO W MUZEUM NARODOWEM

Dla uczczenia setnej rocznicy powstania listopadowego urządzono w Krakowie i we Lwowie wystawy, poświęcone pamiątkom tego ważnego faktu w dziejach Polski.

Warszawa nie pozostała w tyle: w dniu 2-go lutego otwarto w kilku salach Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska podobną wystawę.

Zgromadzono nietylko przedmioty, będące własnością obu muzeów, ale i wypożyczone od właścicieli prywatnych. Zebrano przedewszystkiem zabytki sztuki oraz przedmioty, mające ścisły związek z samem powstaniem; uwzględniono jednak i te, które odnoszą się do epoki poprzedzającej, t. j. Królestwa Kongresowego i późniejszej, t. j. Emigracji.

Cały materiał wystawowy podzielić można na kilka działów.

Najobszerniejszy dział stanowią militarja. W wielkich gablotach, rozmieszczonych głównie na parterze, pokazano nam ówczesne polskie mundury różnych pułków i formacyj wojskowych; obok nich leży broń i drobiazgi, uzupełniające oporządzenie wojskowe.

Z wystawionemi tu przedmiotami łączą się często imiona wielce zasłużone: oto frak mundurowy gen. Tomickiego; szabla bohaterskiego generała Sowińskiego; pałasz, ofiarowany sławnemu gen. Dembińskie-

mu przez pułki i oddziały, wchodzące w skład jego Korpusu na Litwie.

Na jednej ze ścian dekoracyjnie ułożono chorągwie i sztandary i umieszczono obok szafkę z oznaczeniami. Zestawienie trafne, bo przecież wiele z tych orderów zdobytych zostało za obronę tych chorągwi — na kilku jeszcze wstążeczkach widnieją ślady zblakłej krwi.

Drugim ważnym działem jest zbiór obrazów, miniatur, rysunków i rycin, które zaznajamiają widza z wizerunkami współczesnych osobistości, z wypadkami, które się wówczas rozgrywały w Warszawie i na polach bitew, z oddźwiękiem, jaki rewolucja listopadowa wywołała zagranicą, uzupełniają wreszcie nasze wiadomości o ubiorach ówczesnego wojska polskiego.

Z galerji portretów zwraca naszą uwagę podobizna dyktatora Chłopickiego, dobrze malowana, choć nieznanego artysty; gen. Dembińskiego Henryka, malowana przez krakowskiego malarza Stattlera; gen. Haukego, gen. Blumera i innych, oraz reprezentacyjne, dużych rozmiarów portrety Wielkiego Księcia Konstantego i Aleksandra I-go, zawieszane w klatce schodowej.

Nie sposób tu wymieniać ani wszystkich portretów, ani też wyliczać wielu nazwisk.



Delfina Potocka.



Marcin Zaleski: „Powrót do Warszawy przez Krak. Przedmieście oddziałów Wojska Polskiego w 1830 r.

Wspomnieć jednak trzeba ze względu na imię, zaszczytnie utrwalone w historii polskiego malarstwa, Antoniego Brodowskiego, jedyne polskiego klasycysty na miarę europejską, o doskonałym portrecie przez niego malowanym, budowniczego warszawskiego Lessla.

Figurują również, pełne romantycznego zacięcia, w luźnym zresztą związku pozostające z wielkością eksponatów, portrety Walentego Wańkowicza, ze znaną podobizną Mickiewicza i portretami małżonków Towiańskich na czele. Z historycznych scen epoki przedpowstaniowej wyróżnia się praca Michała Chylewskiego, przedstawiająca przyjęcie przez W. Ks. Konstantego na Placu Saskim oficerów i podoficerów ordynansowych — temat, opracowany przez tego współczesnego artystę w kilku wersjach.

Bohaterskie zdobycie arsenału w pamiętną noc 29 listopada przedstawia Marcin Zaleski. Zdolny ten malarz widoków miejskich, uniesiony ogólnym zapałem chwili, maluje ponadto radosne momenty wprowadzenia do Zamku jeńców i chorągwi, zdobytych pod Wawrem i Dembem Wielkim, oraz przemarsz oddziałów wojska polskiego, z generałem Chłopickim na czele. W całej produkcji artystycznej, powstałej bezpośrednio pod wpływem wypadków powstania, prace Zaleskiego wysuwają się z racji swego wysokiego poziomu na pierwszy plan.

January Suchodolski tematem swych prac wychodzi poza mury Warszawy, przedstawiając szturm rosjan na Rogatki Jerozolimskie.

Z późniejszych przedstawicieli polskiej batalistyki, związanej z powstaniem listopadowym, figuruje Wojciech Kossak i Jan Rosen.

Z pięknej kolekcji miniatur na wymienienie zasługuje jedyna autentyczna podobizna Łukasiewskiego, jako kapitana pułku 13-go piechoty Księstwa Warszawskiego z roku 1810 (niewiadomego artysty). Nie-

zwykle szlachetna w ujęciu, również nieoznaczona, główka Delfiny Potockiej, pełna wdzięku w miękko spadających lokach. Dama przez J. N. Głowackiego, mały portrecik Seweryna Goszczyńskiego z roku 1835, malowany przez Alojzego Rejchana, najzdolniejszego ówczesnego portrecistę lwowskiego.

Wojskiem Polskim, jego ubiorami z roku 1815 zajmuje się Aleksander Orłowski w 6-iu akwarelach oraz jego godny kontynuator, jedyny ówczesny przedstawiciel narodowego malarstwa polskiego, słynny malarz koni, Piotr Michałowski, którego mamy tu tylko kilka szkiców. W sposób zupełnie odmienny od prac dwu poprzednio wymienionych artystów maluje Łukaszewski na zamówienie W. Księcia szereg obrazów, przedstawiających z wielką dokładnością mundury różnych oddziałów wojska Polskiego.

Obszerny ten cykl, stanowiący ważny przyczynek do historii munduru polskiego, nie jest na wystawie reprezentowany w całości — znaczna jego część znajduje się we Lwowie. Sporo pozycji w katalogu zajmują ryciny; znajdujemy wśród nich szereg znanych szerokiemu ogółowi, jak np. akwatinty, wykonane przez Dietricha na zasadzie rysunków Piwarskiego, odtwarzające wypadki nocy 29 listopada, oraz wiele portretów.

Najciekawsze bezwątpienia są jednak, mimo niskiego przeważnie poziomu artystycznego, ryciny, powstałe zagranicą, w dużej mierze będące dziełami obcych rąk. Są one ważnym dokumentem szczerzej sympatji narodów Europy zachodniej dla Polski.

Najwięcej znajdujemy tu obrazów słynnych bitew; tak np. bitwa pod Ostrołęką, wykonana przez różnych rytowników w Monachjum, Norymberdze i wreszcie we Francji, z charakterystycznym napisem: „Aucun peuple ne surpasse en valeur les braves polonais“.

Częstym tematem jest również bohaterska śmierć

obrońcy Pragi, gen. Sowińskiego, przyczem na jednej z rycin, wykonanych w Niemczech, dołączono chwalebny napis: „*Der Pole ergiebt sich nur Gott*“. Epilog Powstania Listopadowego, tragedia emigracji znajduje swój wyraz w rycinach, przedstawiających z prawdziwym odczuciem wojaków, porzucających wszystko, co drogie sercu, i udających się na tułaczkę przymusową.

Entuzjastyczne przyjęcie naszych rodaków na obczyźnie — to jeden z częstszych tematów. Widzimy ich w domach i wśród rodzin francuskich, belgijskich i angielskich, podejmowanych z wielką serdecznością; widzimy owacyjne przyjęcie emigrantów polskich w Lipsku, gdzie na ulicę wyległa tłumnie ludność, aby ich powitać.

Narodowość polska jest wówczas synonimem bohaterstwa, dzielności i wierności — oto żołnierz francuski przysięga wierność kobiecie, wymownem dla nas zaklęciem: „*fidèle comme un polonais*“.

Omawiając wystawione ryciny, wspomnieć jeszcze trzeba o tej, która przedstawia szarżę huzarów pruskich na bezbronnych żołnierzach polskich, internowanych w Elblągu.

Bolesny ten epizod plastycznie ujawnia rozdźwięk uczuciowy między ludnością a rządem pruskim.

Ostatni większy dział stanowi zbiór rękopisów, druków oraz nut, zgromadzonych w jednej sali.

Zapoznać się tam można z autografami kilku naszych sławnych generałów, biorących zaszczytny udział w Powstaniu; z listem Korffa, gen. wojsk ros., do generałowej Sowińskiej, wyrażającym współczucie z powodu śmierci jej męża na Woli i słowa uznania dla bohatera, który zjednał sobie szacunek nawet wśród wrogów. Z druków na pierwszym miejscu należy wymienić Sejmowy Akt Detronizacji Mikołaja I z 25 stycznia 1851 r.; kilka ciekawych rozkazów dzien-

nych i odezw do wojska i ludności; wiele ulotek okolicznościowych; Słowackiego „*Ode do Wolności i Hymn*“, oraz „*Kulig Polaków*“; sporą wreszcie ilość ciekawych dokumentów epoki, drukowanych na emigracji.

Zamyka ten ciekawy zbiór, stanowiący w dużej mierze własność prof. Jana Michalskiego, literatura Powstania, z uwzględnieniem najnowszych wydawnictw.

Duże zainteresowanie budzą w nas nuty popularnych wówczas marszów i śpiewów, skomponowanych na cześć bohaterów. Oto np. „*Marsz za Bug*“ z tekstem Goszczyńskiego; „*Marsz Obozowy*“, ułożony przez Kurpińskiego, a śpiewany w teatrze Narodowym w dniu odjazdu Naczelnego Wodza ze stolicy; sławna „*Warszawianka*“, „*Polonez*“ na cześć Wysockiego i inne.

Często na pierwszych kartach nut widnieją kolorowe litografie, np. Marsz Starozakonnych Gwardji Wojskowej Narodowej ozdobiony jest trzema charakterystycznymi postaciami brodatych żydów z karabinami.

Na zakończenie nadmienić trzeba, że na wystawie mieści się jeszcze wiele różnych przedmiotów, objętych w katalogu nazwą „*obyczajowych*“. Należy tu przede wszystkim grupa pięknych mebli, zapomocą których odtworzono ówczesne wnętrza, ubiory kobiece, biżuterja, tabakerki i fajki oraz szereg drobiazgów pamiątkowych.

Widać z tego pobieżnego wyliczenia, że całość wystawy przedstawia się interesująco.

Do osłabienia ogólnego jej wrażenia przyczynia się, niestety, szczupłość miejsca, konieczność rozmieszczenia eksponatów w salach parteru i pierwszego piętra.

Wystawa zyskałaby z pewnością, gdyby, jak to było projektowane, udało się ją urządzić w no-



Marcin Zaleski: „*Wprowadzenie chorągwi i sztandarów, zdobytych pod Wawrem i Dembem Wielkim*“.

wym, pięknym budynku Muzeum Narodowego, na co nie pozwoliły okoliczności. Ze szczupłości pomieszczenia wynika też pewien zarzut, jaki można zrobić omawianej wystawie: mianowicie niekompletność, nawet w ramach osiągalnych w Warszawie.

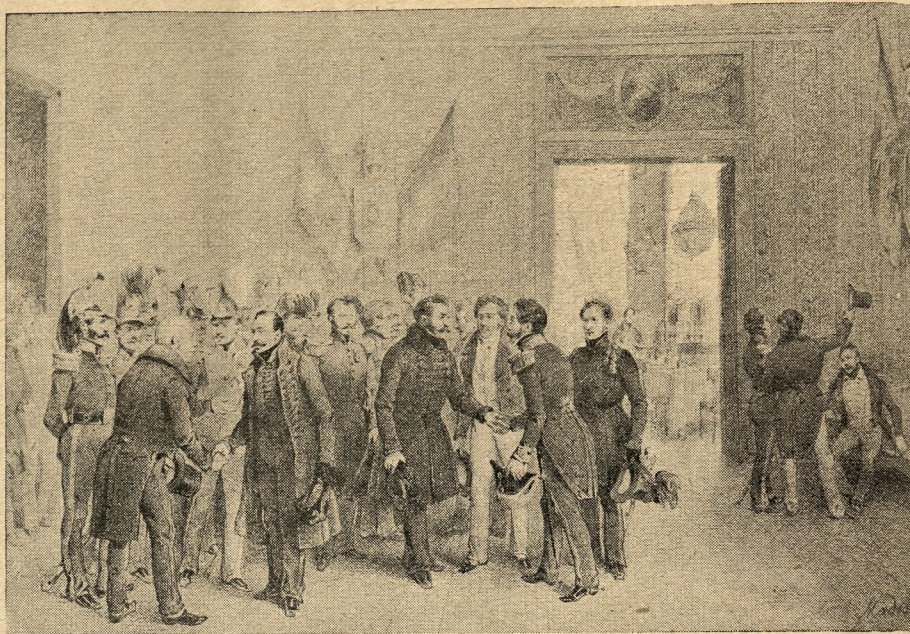
W rękach prywatnych właścicieli w naszej stolicy znajduje się bezwątpienia wiele różnych obiektów, któreby mogły wystawę uzupełnić. Brak np. zupełnie w dziale sztuki obrazów lub bodaj szkiców Juliusza Kossaka, który, jak wiadomo, pozostawił cały szereg dzieł, z Powstaniem związanych. Zbiory Zachęty mogłyby też dołączyć niejeden obraz na Wystawę.

Trudno jednak robić z tego organizatorom zbyt poważne zarzuty, gdyż sami je uchylają, tłumacząc we wstępie do bardzo starannie opracowanego katalogu, że ilość okazów musiała być ściśle ograniczona ze względu na brak miejsca.

Niepotrzebnie natomiast znalazły się na wystawie przedmioty, mające luźny tylko związek z epoką Powstania, jak choćby wspomniane wyżej portrety Wańkowicza, niektóre szkice Orłowskiego.

Mimo te uwagi, z radością należy powitać otwarcie wystawy, która i w Warszawie pozwoli odetchnąć sztuką i nastrojem epoki Powstania, oraz przypomni o istnieniu Muzeum Narodowego z jego cennymi zażytkami, o którym tak często niesłusznie zapominamy.

J. Puciata-Parłowska.



Przyjęcie emigrantów polskich w Belgji.

A CO JUTRO, WASZA KRÓLEWSKA MOŚĆ?

Dziwna jest natura ludzka! Jej instynktowny, atawistyczny konserwatyzm długo bardzo nie może się rozstać z zadomowionymi obyczajami i formami istnienia. To też dziś, gdy w większości państw europejskich niema już królów, atawizm monarchiczny bierze sobie rewanz na królowych.

Królowa piękności, królowa Paryża, królowa Europy, królowa świata i tak dalej. Nic nie szkodzi, że się to demokratycznie nazywa „Miss“: nazwa inna, rzecz ta sama. A rezultaty?

Chwilami dosyć smutne, dla monarchini, naturalnie.

Jednocześnie z nowym konkursem na nowe „królowe“ świata, odbyły się w Paryżu dwa procesy byłych władczyń z komitetem, które je kreował.

Królowa Paryża z r. 1929, panna Brillant, zaskarżyła komitet o to, że wyborem swym wytrącił ją z codziennych warunków życia, otoczył zbyt kiem, wprowadził w świat zabaw i użycia, aby po czterech miesiącach zstawić na bruku!

Zarzut istotnie ciężki; ale czy rzeczywiście realny? Cóż bo ten biedny komitet winien? wybrał królową? No, bo taki obyczaj!

Otóż to właśnie, w tem leży sedno sprawy.

Naprawdę, to nawet jest i demokratyczna idea. Młoda panienska, uboga pracownica, zostaje wyróżniona z pomiędzy towarzyszek (królowa Paryża wybierana jest z pośród dziewcząt pracujących, przeważnie krawcowych i sklepowych); przytem nietylko,



„Fidèle, comme un Polonais“. (Lit. Raffel'a).

uroda, ale i moralność jej decyduje o wyborze. Po-tem wesoly i lubiaczy się bawic swiatek paryski chce, naturalnie, uczcic swą wybrankę w odpowiedni spo-sób. Oprowadza ją triumfalnie po ulicach, a że triumf wymaga odpowiedniej oprawy, więc obdarza ją pięknymi tualetami, które ofiarowują sklepy, żadne reklamy. Jako trwała pamiątkę wyboru i godło mon-arwsze, otrzymuje królowa piękny klejnot, najczęściej złotą bransoletę, ofiarowaną przez pana Prezydenta Republiki. Cóż w tem wszystkim złego?

Ano, posłuchajmy ex-monarchini, panny Brillant: „Przez cztery miesiące żyłam, jak w czarodziej-skim śnie, jeżdżąc z zabawy na zabawę i z miasta do miasta, bo wszędzie chciano uczcić królową sto-licy. Miałam wspaniałe tualety, przysyłano mi perfu-my i kwiaty, fotografowano we wszystkich pismach, zapraszano na wytworne obiady i kolacje, gdzie lał się szampan. Cóż dziwnego, że taki tryb życia po-dobał mi się, że mnie oczarował? Naturalnie, chcąc odpowiedzieć wszystkim zaproszeniom, musiałam rzu-cić posadę. Byłam starszą panną w eleganckim ma-gazynie i zarabiałam 1500 franków miesięcznie. Po-sadę tę straciłam, bo gdy wróciłam z mojej triumfal-nej tournée i przestałam być królową, już była inna krawcowa na mojem miejscu. Od tego czasu nie mogę znaleźć zajęcia, a wszystkie moje „królewskie“ zasoby dawno się wyczerpały“.

Można, zdaje się, śmiało dodać, że wyczerpały się i chęci do zwykłej, codziennej pracy, dziewczyny, wprowadzonej nagle w tak inny świat.

Panna Brillant wniosła więc przeciwko komite-towi skargę o 10 tysięcy franków odszkodowania i, co dziwniejsze, sąd uznał słuszność jej pretensji, jak również i skargę zeszłorocznej królowej.

Trudno wobec tego nie zastanowić się poważ-niej nad celowością tych wszystkich konkursów.

Rozszerzyły się one na całym dosłownie świe-cie; przykład Paryża jest jednym drobnym faktem. Od paru lat rok rocznie przybywa kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt „królowych“. Jaki jest ich los? Zapewne, królują one na szerszym terenie, niż monarchini pa-ryskich midinetek; ta jedna, która zostaje Miss Eu-ropą, lub Miss „świata“, ma zapewnioną karierę; inne Miss poszczególnych krajów mają większą sumę ofia-

rowanych prezentów w przedmiotach wartościowych, które ostatecznie mogą nawet dać pewną podstawę bytu; można przytem zrobić karierę: wyjść dobrze zamaż, lub zostać artystką filmową.

Wszystko to prawda, ale i to prawda, że wszyst-ko to często zawodzi.

Nietylko królowa Paryża, ale niedawno Miss Anglja z któregoś roku znalazła się w tem samem położeniu.

Więcej: doświadczenie wskazuje, że te Miss, które wybór zastał, jako osoby zamożne, na pew-nym poziomie kultury i stanowiska społecznego (swego, lub rodziców), wychodzą na swem królestwie do-brze, jak np. obie Miss Polonie, lub zeszłoroczna Miss Europa; te zaś, które wybór przeniósł chwilowo w kontrastowo inne warunki bytu, doznają wielu za-wodów i goryczy.

Nie mam wcale zamiaru występować tu prze-ciwko samym konkursom. Mają one wielu przeciwników, ale i zwolenników również. Zarzuty pierwszych dadzą się ogólnie streścić w tem, co powiedziano po-wyżej; argumenty drugich wysuwają zasadę, że dziś, w wieku propagowania estetyki, sportu, kultury piękna, nie wolno pomijać piękności ludzkiej.

Jest to bezwzględnie prawda, chodzi tylko o je-den fakt: jak ją wprowadzać w życie, aby stała się istotnie triumfem piękna?

Chodziłoby tu przede wszystkim o technikę sa-mego konkursu, dotychczas bowiem była ona *niemal wszędzie* taka (w Polsce szczęśliwie zaniechano w tym roku wyboru Miss Polonii), że zakrawała na gro-teskę. Jutrzekowe nastroje greckiego kultu piękno-ści? A właśnie! Dwa lata temu w Hiszpanji doszło do scen gorszących prowincjonalno-politycznej gry mię-dzy miastami, w której na tle, przypominającym kłótnię jarmarczną, zwyciężyła Miss brzydka, dla za-dowolenia ambitnej Sewilli!

Nie mówiąc już o tem, że bardzo wiele piękn-ych kobiet za nic w świecie do konkursu nie stanie i to właśnie z powodu konkursowej techniki; skąd więc pewność, że wybrana jest właśnie najpiękniej-szą? Zapewne, że dziś nie są czasy miast republik greckich, gdzie wszyscy się znali i gdzie głos po-wszechny mógł wskazać naprawdę najpiękniejszą;



Kandydatki na monarchinie.

gdyby jednak, stosownie do warunków współczesnych, obmyślono poważniejszy i mniej rozgłośny, a bardziej artystyczny sposób oceny kandydatek, może rezultat byłby lepszy: wybrano by tę istotnie najpiękniejszą.

A już najbardziej stanowczo należy zmienić formę nagrody konkursowej. Zamiast prezentów i uczt, które przyprowadzić mogą o zawrót słabsze głowy, dać trzeba premję trwałą, której wartość, zgóry określona, byłaby jednak stosowana indywidualnie, względnie do stanowiska i osoby nagrodzonej. Dla jednych mogłaby to być pewna suma na założenie sobie własnego warsztatu pracy; dla innych możność przeprowadzenia jakichś studjów; jeszcze dla innych pamiątkowe dzieło sztuki, czy fundusz na odbycie ciekawej podróży.

Takie postawienie sprawy nie zaszkodziłoby chyba propagandzie piękna, a nie utrwalaloby setek naiwnych dziewcząt w przekonaniu, że dosyć jest zostać „królową” lub Miss, aby zrobić karierę, jeśli nie małżeńską, to filmową.

Małżeństwo chodzi bowiem zwykle innemi drogami, a film? Słusznie zauważył jeden z dowcipnych dziennikarzy, że port stolicy filmu, Los Angeles, leży na drodze do Buenos Aires, stolicy handlu żywym towarem!

Jest przytem coś ubliżającego ludzkiej wogóle, a więc i kobiecej godności, nie w premjowaniu, jako piękności, lecz właśnie w oprowadzaniu i obwożeniu tej piękności, jak ciekawego zwierzątka lub lalki, w mianowaniu jej królową z Operetki.

Z tem zerwać należy raz na zawsze i to zarówno ze względów jednostkowych, jak i ogólnych. N. J.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI.

„Noc Sylwestrowa” — komedia karnawałowa w 3 aktach (5 odsłonach) Stefana Krzyżoszewskiego. Reżyserja dyr. E. Chaberskiego. Dekoracje W. Drabika.

Dwóch jubilatów podało sobie dłonie w tem zręcznym, bezpretensjonalnym widowisku: autor i aktor. Stefan Krzyżoszewski i Antoni Fertner. Obydwaj byli wierni sobie, co na dobre wyszło sztuce.

Fertner-jubilat miał tę właściwą sobie niefrasobliwość humoru, tę trochę zgłupia frant pewność siebie, tę burżuazyjną groteskowość, które pozwoliły mu już stworzyć tylu Fertnerów, każdy w nieco odmiennem wydaniu.

Stefan Krzyżoszewski dał dowód umiaru i dojrzałości farsowej w lekko opowiedzianej i doskonale rozbitej na pojedyncze role, anegdocie karnawałowej. Chytrze i zwinnie, jak wąż, przemyka się wątek akcji pośród sytuacji śliskich, zagrożonych co chwila bliskiem sąsiedztwem skandalu, a jednak nigdzie nie potykający się o wyboje przesady, nie grzęznący w błotku taniej pornografji.

Autor zlekka, jakby odniechcenia, musnął pewne rozluźnienie obyczajów wśród próżnujących kobiet zamożnej burżuazji; dał kilka szkicowych, ale wyrazistych sylwetek brukowych, związał je wspólnie przeżytym konfliktem nocy sylwestrowej, nocy mniej lub więcej niewinnych szaleństw, i w odpowiednim momencie przeciął węzeł ze swobodą wytrawnego znawcy sceny i... reduity.

Nocy Sylwestrowej możnaby postawić pewne zarzuty natury etyczno-społecznej. Oto autor zbagatelizował poważne niebezpieczeństwo, tkwiące w postaci balwana-męża, odtwarza-

nego przez Fertnera. Niechcący wcielił w niego wszystkie ohydne narowy pasibrzucha i arraywisty, jednego z tych, którzy swoją bezczelnością, arogancją, kapitalistyczną pewnością siebie bolszewizują sfery pracujące. Idealny kandydat do wywiezienia w taczkach.

„Noc Sylwestrowa” jest jednym z tych drobiazgów, których cały urok polega na właściwej obsadzie i efektownem opracowaniu szczegółów. I jedno i drugie było bez zarzutu. Fertner w roli nawpół zdradzonego męża, Kurnakowicz, jako gamajdowaty kandydat na klasycznego rogowca, Osterwa, czarujący niebieski ptak, Smosarska i Gorczyńska, obie olśniewające odrębną urodą i rewją tualet, Orwid i Różański, jako para służących, nie po molierowsku, ale po nowoczesnemu biorących czynny udział w akcji — wszyscy byli na właściwem sobie miejscu.

Reżyserja wprost wyjątkowa; niektóre momenty, np. releta, zrobione po mistrzowsku. Napewno na tej reducie i widzowie i aktorzy bawili się lepiej, niż na prawdziwej.

Wnętrze Drabika efektowne i miłe.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

„RATUJMY NIEMOWŁĘTA”.

Zarząd Towarzystwa „Ratujmy Niemowlęta” zwraca się do swych członków i sympatyków z prośbą o współpracę w urzędzeniu dorocznych „Dni”, mających zacząć się 4 marca. W rokueszłym „Dni” przyniosły netto 5868 zł. Tak poważną sumę wykrzesał z niczego ofiarny wysiłek kilkuset osób, które dały doraźnie Zarządowi swą współpracę na ten okres.

W tym roku powinno się osiągnąć sumę wyższą, bo życzliwość Warszawy dla Towarzystwa rozwinęła się znacznie; rozwinęła się więcej, niż kryzys ekonomiczny, ważący w kierunku ujemnym. Dzięki tej życzliwości, Towarzystwo już buduje „Dom” swój, a prócz tego setkom opuszczonej matek dostarcza pracy, nie rozłączającej ich z dziećmi.

Zatem miłosierne osoby, któreby w tym roku dały się skłonić do wzięcia udziału w przygotowaniu „Dni”, niech wiedzą, że ten najcięższy dział pracy społecznej, zbieranie pieniędzy, staje się względnie łatwiejszy, gdy prośbę się zanosi w imię „Ratujmy Niemowlęta”, bo na ten cel serca ludzkie coraz bardziej odmawiać nie umieją.

Tylko szeregu jałmużniczek tej sprawie potrzeba!

Zarząd Towarzystwa prosi panie, które chciałyby podjąć się tego zadania, lub złożyć ofiarę na rzecz maleństw, o zgłoszenie się do lokalu Towarzystwa: Nowy Świat 8/10 m. 26.

Ś. p. LUCYNA ŁOPACIŃSKA.

W Rzymie zmarła ś. p. Lucyna Łopacińska. W ciągu długich lat pobytu na obczyźnie dom jej był ogniskiem pomocy dla rodaków i serdecznego z nimi współzycia. Zmarła była również opiekunką i doradczynią znanego literata Egisto de Andreis, gorącego przyjaciela polaków.

PIERWSZA DOKTORKA FARMACJI.

Przed laty blisko trzydziestu rozpoczęły polki energiczne starania o dostęp do wyższej wiedzy farmaceutycznej; znane są na tem polu nazwiska zasłużonych działaczek, Antoniny Leśniewskiej i Florentyny Stankiewicz, o której pisaliśmy niedawno na tem miejscu.

Pierwsze kroki zdobywania dostępu do zawodu tych dzielnych pionerek farmaceutyki dla kobiet odbywały się jednak z konieczności poza krajem, w Petersburgu. Obecnie, w odrodzonej Polsce kobiety mają pełną swobodę studjów farmaceutycznych, jak i wszelkich innych. To też w tych dniach odbyła się w uniwersytecie Warszawskim ważna uroczystość pierwszej, od czasu niepodległości, promocji kobiety na doktora farmacji.

Nową doktorką jest p. Flora Kudrzycka.

O PRAWA DZIECI RODZICÓW ROZWIEDZIONYCH.

Sekcja opieki nad dzieckiem w Lidze Narodów i Międzynarodowe Tow. Opieki nad dzieckiem opracowują obecnie projekt prawa międzynarodowego o dzieciach rodziców rozwiedzionych. Chodzi o zabezpieczenie tym dzieciom praw, gwarantujących im najlepsze warunki wychowania moralne i materialne. Dotychczas zaś w wielu krajach prawo, w razie rozwodu, przyznaje dzieci temu z małżonków, który uznany został za „niewinnego“ w procesie rozwodowym; nie potrzeba wyjaśniać, że nie zawsze tu wygrywająca strona będzie najlepszym wychowawcą. Chodzi też o zmianę obecnej procedury. Sądy bowiem opierać się zwykły na zeznaniach świadków, którzy często nie zapoznają się dokładnie z warunkami, w jakich będą przebywały takie dzieci. Nowe prawo przewiduje opiekunów, którzy będą mieli obowiązek rozciągać stałą kontrolę nad sposobem i warunkami, w jakich wychowywać się będą dzieci, oddane jednemu z małżonków, lub umieszczone u osób trzecich. Komisja Ligi sądzi, że państwa zmodyfikują swoje ustawy, odpowiednio do tego nowego kodeksu. Byłoby zapewne lepiej, gdyby nie był on wogóle potrzebny, wobec istniejącej jednak wielkiej liczby rozwodów, unormowanie tej sprawy staje się konieczne z punktu widzenia interesu, najwyższego w tym zakresie, interesu dziecka.

ZADOWOLENI Z ŻYCIA, MŁODOŚCI I ŚNIEGU.

Włoski następca tronu i jego małżonka, zaślubiona w roku zeszłym, księżniczka Marie José belgijska, są wielkimi amatorami sportu narciarskiego. Młoda para książęca spędziła obecnie parę tygodni w Sabaudji, oddając się codziennie ulubionym ćwiczeniom.



Książę Humbert z żoną.



Pochód małych swaradżystek.

DZIEWCZĘTA HINDUSKIE WYSTĘPUJĄ PRZECIW ANGLJI.

Pomimo nadania Indjom konstytucji, rozruchy nie ustają; świeżo odbył się w Karachi wielki Kongres swaradżystów, połączony z demonstracjami na ulicach. Policja angielska, naturalnie, interwenjowała, a jako skutek tej interwencji, kilkanaście osób zostało ranionych. Niesłychanym zjawiskiem w tej demonstracji było, że przyłączyła się do niej grupa dziewczątek 12 i 14 letnich, ze sztandarem młodzieży. Wiele z tych młodziutek demonsterek padło ofiarą swego patriotyzmu.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Po długich i pracowitych obradach, Sejm uchwalił budżet państwa na rok 31-32 w trzecim czytaniu. Bardzo poważną uchwałą jest upoważnienie, dane rządowi, możliwości obniżenia uposażeń pracowników państwowych o 15 procent. Od dłuższego już czasu panujący w całym świecie kryzys gospodarczy wywołuje wszędzie usiłowania, z jednej strony obniżki cen, z drugiej zmniejszenia płac pracowników. Zjawiska te widzimy w Anglii, Niemczech, Włoszech. U nas tymczasem nastąpiła tylko pewna redukcja cen.

Bezwzględnie, że zarobki naszej inteligencji pracującej wogóle, i urzędników także, są niewystarczające i perspektywa ich obniżenia nie jest wesoła, niema jednak jeszcze pewności, że to nastąpi; uchwała Sejmu nie zaleca obniżki, *pozwała* tylko na zastosowanie jej, w razie absolutnej niemożności innego wyjścia. Narazie zastosowane zostanie podniesienie o 10 procent podatku dochodowego od uposażeń służbowych, zmniejszy to o wiele ewentualność obniżenia samych płac, a sumy podatkowe są niewielkie.

Jednocześnie Sejm wezwał rząd, aby obniżył o 15 procent przedewszystkiem djety poselskie, oraz dążył do zmniejszenia kosztów administracji przez obniżenie pensji *największych*, na stanowiskach kierowniczych, przy jednoczesnym unikaniu obniżania płac niższych funkcjonariuszy i robotników.

W polityce zagranicznej nastąpiło, po sesji Rady Ligi Narodów i zakończeniu londyńskiej konferencji okrągłego stołu, pewne odprężenie. Załatwiono (choć czasowo) parę spraw, denerwujących opinię publiczną, i ucichło. Francja przygotowuje się do wyborów prezydenta, Anglja pora się w dalszym ciągu dosyć bezskutecznie z bezrobociem; w Niemczech tylko zrobiła się nowa awantura: aresztowano grupę hitlerowców po przeprowadzonej uprzednio rewizji w lokalu partji, gdzie znaleziono skład broni i poważne poszlaki, iż stronnictwo to brało udział w zamordowaniu dwóch członków partji republikańskiej. Stwierdzono nadto, że hitlerowcy przygotowywali zamach rewolucyjny.

NASZA MÓWNIKA

Trzeba trzeźwo patrzeć.

Od pewnego czasu toczy się w „Bluszczu“ dyskusja na temat „doboru małżeństwa“. Choć uważam, że kwestja ta zostanie zagadnieniem życiowym nierozwiązanem, chcę dorzucić kilka refleksyj.

W częstych polemikach z panami na temat „jaka powinna być żona“, doszłam do smutnych wniosków i twierdzę z całą stanowczością, że panowie mają wielkie aspiracje (według nich), górne poloty małżeńskie, a spadają na niziny i często grzęzną w bagienku. Bo czyż wszyscy zadają sobie trud poznania swojej przyszłej żony, jej psychologii, jej upodobań i t. p.? Są to, niestety, tylko sporadyczne wypadki.

Zobaczmy, czego terazniejszy kandydat na męża wymaga od swej przyszłej żony. Po pierwsze musi być ładna, to atut w ręku kobiety, nie powinna być zbyt mądra, bo to drażni, raczej powinna być naiwna, dziecinna, bezradna i zawsze uśmiechnięta na widok strudzonego pracą „pana domu“, aby go rozweselić. Uważam, że kobieta niezawsze zdolna jest do uśmiechów, może lepiej mieć do tego małą papugę! Następnie musi być posażna, ale wreszcie mniejsza z tem. Grunt, niech będzie potulna, cicha i cnotliwa. Taką można urobić na swoją modę i stworzyć ideał żony. Na żony nie nadają się absolutnie kobiety pracujące, czy to w biurach, czy w szkolnictwie, lub innych zawodach. Zatraciły bowiem cechy kobiecości, są raczej kolegami. O wszystkim się z niemi mówi swobodnie, są miłe, dobre, szlachetne, ale takie codzienne, szare. Taka osoba nudziłaby tylko i ją również drażniłby dom, obowiązki codzienne; zanuźdzałaby męża dyskusjami, nie dałaby trwonić na karty i „kieliszek“ ciężko zapracowanego grosza, bo taka „filozofka“ niełatwo da się okłamać. Śmieszne, zaiste, i godne autorów interpretacje.

W odpowiedzi więc wszystkim panom, rozumującym w podobny sposób, powiem tyle: Ci mędrcy, ci poławiacze pereł zawsze wpadają i biorą za towarzyszkę życia kobietę sprytną, której nawet nie w głowie ideały męża i ogniska domowego. Grunt, że się wyszło zamąż, a reszta furda. A po dwu miesiącach pożycia rozczarowanie. Ta potulna, cicha, o stuprocentowej kobiecości niewiasta często okazuje się jędzą, zamieniającą dom w piekło. W ładnej, zgrabnej główce powstają całe masy zagadnień, broń Boże nie filozoficznych! czysto życiowych, streszczających się w awanturkach o nowe szaty, boć przez dwa sezony w tym samym płaszczu chodzić nie będzie, poco ma męża i t. d. i t. d.

Zastraszające jest również zjawisko, i to dość częste, że narzeczeni, zaledwie po kilkakrotnym widzeniu się, ludzie obcy sobie zupełnie, stają na ślubnym kobiercu i przysięgają wierność dogonną, gdy nawet jutro przynieść może rozczarowanie. Oczywiście, żyją źle, paczą słowa przysięgi, wygłaszane w obliczu ołtarza z bezmyślnością i bez spoglądania w przyszłość. Finał: zdrady małżeńskie, kłótnie, awantury, uwieńczone rozwodem. Żona, „nieszczęśliwa ofiara“, znajduje wkrótce wybawcę od „tyrana“, wychodzi powtórnie zamąż; mąż również szuka lepszej towarzyszkę, wpadając często jeszcze gorzej. Dobrze, jeśli takie małżeństwo nie ma potomstwa, gdyż dzieci zwykle ponoszą cały ciężar za błędy lekkomyślnych życiodawców.

Reasumując powyższe wywody, uważam, że dążąc do ideału małżeństwa, dążmy razem, ręka w rękę, jak ludzie dobrej woli, wypierając wzajemne braki.

Pola Pawłowska — Krasnystaro.

Od uznania do ustawy.

Szanowne Panie zawiązały Związek Pań Domu; już to samo dowodzi, że praca domowa jest nie tylko jednym z najważniejszych czynników naszego życia, ale i poważnym zawo-

dem, który musi mieć swoją instytucję, swoje przedstawicielstwo, jak każdy inny zawód.

Mówi się zresztą i pisze bardzo wiele o tem, że gospodarstwo domowe musi być tak traktowane; ale bierzemy to zagadnienie głównie ze strony uproszczenia i udoskonalenia gospodarstwa i pracy domowej, wprowadzenia do niej organizacji i wszystkich nowoczesnych wynalazków, wykształcenia gospodyń domu, jako fachowych znawczyń i pracownic, wreszcie nawet wpływania na normowanie cen, dostaw i t. p. — rzecz zawsze łatwiejsza dla wielkiej organizacji, niż dla pojedynczych osobników.

Wszystko to jest bardzo celowe i potrzebne, ale, mojem zdaniem, Związek Pań Domu powinienby się zająć jeszcze jedną, ważną sprawą: określenia stanowiska tejże samej właśnie Pani Domu.

Dotychczas ustalono tylko jej nazwę. Były też głosy, o ile pamiętam, w samym „Bluszczu“, aby zmienić obecnie powszechnie używane określenie „przy mężu“, jako nieodpowiadające samodzielnemu stanowisku Pani domu, ale to i wszystko.

A tymczasem przed paru tygodniami w Danji wyszło nowe prawo, stanowiące, że praca domowa kobiety uznana zostaje jako równa pracy zawodowo-zarobkowej męża.

Ustawa taka jest bardzo ważna w swych skutkach, kobieta bowiem nabywa przez nią praw samodzielnego pracownika. Weźmy choćby taki przykład, jak Kasa Chorych. Żona, nie pracująca zawodowo, ma tylko, wobec Kasy, prawa do świadczeń dla członka rodziny, znacznie jednak mniejszych; gdyby zaś uznana została, jako samodzielna pracownica we własnym domu, musiałaby, naturalnie, opłacać samodzielną składkę, ale w razie potrzeby miałaby i większe świadczenia. I tak byłoby zapewne we wszystkich dziedzinach życia. Nie znam dobrze subtelności prawa, ale logika sama wskazuje, że uznanie kobiety, jako samodzielnego pracownika, musi zwiększyć jej uprawnienia. Dotychczas zaś uznaje się te prawa tylko moralnie (i to nie zawsze), a niema realnego ich odpowiednika.

Jeżeli zaś mamy już równouprawnienie obywatelskie i przynajmniej teoretyczną równość płac, to czas najwyższy równouprawnić pracę domową.

Mam nadzieję, że panie zechcą zabrać głos w tej sprawie, członkinie Związku i panie prawniczki, które mogą dokładnie wyjaśnić nam skutki prawne takiej zmiany. B. S. — Kalisz.

A gdyby tego spróbować?

W jednym z pism warszawskich przeczytałam niedawno charakterystyczną wzmiankę o pewnej zredukowanej nauczycielce (z ukończonym Seminarjum), która, nie mogąc znaleźć żadnej posady, zgodziła się wreszcie za pokojówkę, „aby nie umrzeć z głodu“. Z zajęcia swego jest jednak zadowolona, gdyż uwolniło ją od troski o chleb i dach nad głową i zapewniło pod tym względem całkowity spokój.

Nasuwa to myśl, czy nie należałoby zastanowić się nad problemem inteligentnej obsługi domowej. Panienci, dajmy na to ze średnim wykształceniem (6 klas), nie mając możliwości ukończenia wyższych studjów, a posiadając zamiłowanie do gospodarstwa domowego, mogłyby kończyć specjalny kurs gospodarstwa domowego i obejmować posady wykwalifikowanych już gospodyń, kucharek i pokojówek, stwarzając nowe kadry pracowniczek na tem polu. Odciążyłoby to wydatnie zastępy bezrobotnej, lub głodującej inteligencji, a paniom domu zapewniło spokój i stworzyło idealne warunki gospodarki domowej. Naturalnie, musiałoby to sprowadzić całkowitą ewolucję, a nawet rewolucję pojęć w stosunku do służby domowej i do pogardzanego dotąd (tak niesłusznie) stanowiska „kucharki“. Może Panie zechcą wypowiedzieć się co do tego „śmiałego“ projektu. Europeizujemy nasze gospodarstwa domowe.

J. K. — Grodno.

WYSTAWA SZTUKI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

(wrażenia osoby mało rozgarniętej)

Paryż w lutym.

„Zbyt długo trwało lekceważenie mężczyzn dla domowego trudu kobiet. Należy się wstydzić dotychczasowej obojętności i braku zrozumienia, wobec spraw tak istotnych. Starajmy się odzyskać czas stracony. W wieku, w którym dobrodziejstwa wiedzy i postępy techniki zostają zastosowane we wszystkich dziedzinach życia, nie wolno nam zwlekać z reorganizacją naszych ognisk domowych. Salon Sztuki Gospodarstwa Domowego jest areną, na której odbywa się rewolucja, wyzwalająca kobiety z jarzma źle zorganizowanych zajęć gospodarczych”.

Aż tak! Aż tak szumnie brzmi zapowiedź wystawy, wydrukowana jako artykuł wstępny w „l'Art Ménager” — bardzo ładnie wydanym miesięczniku, poświęconym badaniom wszelkich możliwości udoskonalenia gospodarstwa domowego. Tam też znalazłam przedruk odczytu, wygłoszonego przez p. Paul Reboux, kierownika i właściciela wielkiego domu mody, autora książki o nowoczesnym savoir vivre i wogóle estety i pięknoducha.

Odczyt, wygłoszony 29 stycznia, w dniu otwarcia wystawy, miał za tytuł i temat: „Gaz, elektryczność, a piękność kobieca”. — W dość długim szeregu zdań, tak doskonale okrągłych i gładkich, że myśl się z nich ześlizguje, niezdolna zahaczyć o najlżejszy sęczonek istotnej treści, p. Reboux tłumaczy, że gaz i elektryczność są sprzymierzeńcami niewieściej urody, gdyż oszczędzają kobietom zamożniejszym przykrych komeraży ze służącą, zmuszoną do dźwigania węgla, a mniej zamożnym — osobistego walania rączek, oraz przygnębiającej świadomości, że, gotując na węglu, wydają pieniądze w sposób nieprodukcyjny. To wszystko w obfitym sosie komplementów pod adresem słuchaczek.

Bodaj to Paryż! Niechby tak u nas płatny prelegent próbował, wiele gadając, powiedzieć tak przedziwnie mało — wygwizdanoby chłopca, aż ha! a niejedenby zażądał zwrotu pieniędzy. A tu nic. Wysłuchali, poklaskali. A komitet wystawy zapłacił słone honorarium. A pismo wydrukowało przemówienie i też zapłaciło. Dobrze się dzieje zagranicą człowiekowi, który sobie wyrobił firmę. Mniejsza o to, jak, choćby przez kapelusze, jak p. Paul Reboux.

Byłam ogromnie ciekawa wystawy, tak uroczyscie zapowiedzianej, tak elegancko podanej w salacie kwieciste wyszukanych słówek modnego conférienciera. Przekraczam próg olbrzymiego wystawowego pałacu (Le Grand Palais), zerkając z zażenowaniem na wspaniałych, siwowąsych woźnych, w długiej, granatowo-ponsowej liberji. Trzeba przyznać, że wszystko, co dotyczy reprezentacji, w Paryżu zaaranżowane jest pierwszorzędnie. Mnie jednak przytłacza nie tyle ogrom i majestat gmachu i nawet nie dostojność jego dozorców, ile świadomość własnej nędzy moralnej. Cóż bo ja, mizerna istota, której nieliczne usiłowania usmażenia jajeczniczy kończyły się zawsze bolesnym poparzeniem rąk i straszliwym swędem spalenizny w całym mieszkaniu, idę robić na Wystawie Sztuki Gospodarstwa Domowego?! O! żeby na moim miejscu była „Pani Elżbieta”, albo p. M. Ankiwiczowa, albo wreszcie jakakolwiek członkini „Koła Studjów Gospodarstwa Domowego” — słowem kobieta, zdolna zrozumieć i ocenić doskonałość nowoczesnych wynalazków w tym zakresie...

No, ale trudno. — Gdzie niema tych, co się znają, musi się znać ta, co jest — komponuję taki sobie tytuł na piosenkę dla Krukowskiego, nie wiele, zdaje się, głępszy od dotychczasowych, i ruszam śmiało naprzód.

W obszernej hali z oszklonym dachem dużo, bardzo dużo, ciasno stłoczonych stoisk i mało, bardzo mało — zwiedzających. Wystawa jest otwarta dopiero trzeci dzień, czyżby to znaczyło, że, mimo wzniosłej na ten temat literatury, zainteresowanie gospodarstwem domowym nie należy do najgłębszych zamiłowań paryżan? A może to wina przedobiedniej godziny?

Snuję się między stoiskami, usiłując obudzić w sobie zaciekawienie dla rzeczy, które są mi przedziwnie obojętne. Obsługa stoisk, z właściwą francuzom ekspansywną uprzejmością, udziela mi nader wyczerpujących wyjaśnień, tem chętniej, że prócz mnie w polu widzenia nie można dojrzeć nikogo z publiczności. Czyszcza mi więc buty jakąś ekstra pasta, której zalet nigdy nie zdołam należycie ocenić; wyciągają kurz i mole z mego futra nowoczesnym odkurzaczem, tłumacząc mi dokładnie, ile elektryczności się oszczędza, stosując ten właśnie system, a nie inny.

— Ogromnie lubię ten państwa odkurzacze! — mówię, aby im się za trud wywdzięczyć.

— O, bo jest bardzo praktyczny.

— Nie, bo ma na reklamach takiego rozkosznego, białego niedźwiadka, który tak strasznie się boi, że go murzyn wciągnie do worka wraz z kurzem. Zawsze się do niego uśmiecham, kiedy jeżdżę kolejką podziemną.

Spojrzeli na mnie, jak na łagodną warjatkę, i przestali się wysilać na techniczne wyjaśnienia.

— Piandox! messieurs, dames; dégustation gratuite! — wdzięczy się śpiewnie wyróżowana francuzeczka w białym fartuszk; w braku właściwego obiektu, strzyże ku mnie uczernionymi rzęsami.

Piję więc filiżankę buljonu z mięsnego ekstraktu, przyrządzoną napoczekaniu. Tuż obok konkurencja: stoisko Maggi, dwadzieścia pięć gatunków zup, wszystkie narazie w proszku. Każdą przyrządza się na żądanie. Maszynki do kawy na parze lekkim gwizdkiem zawiadamiają o tem, że kawa jest gotowa. Kawa prawdziwa i kawa zołędziowa, higieniczna. I kawa bez kofeiny. A wreszcie coś naprawdę ciekawego, wynalazek ostatniej doby: kawa rozpuszczalna w gorącej wodzie i mleku, jak kakao. Przy mnie wysypują do filiżanki szczyptę kawowego proszku, zalewają gorącą wodą i kawa już gotowa. Kosztuje — wyborna. To samo z mlekiem, bez wody — też świetne. Wynalazek naprawdę praktyczny, zwłaszcza dla tych, co gospodarstwa nie prowadzą. Może dlatego tak odrazu zyskał moją sympatię.

Jeszcze ekstrakt mięsny „La poule au pot” i ekstrakt cebulowy, do przyrządzania zupy cebulowej, tak milej powonieniu fracuza, a tak bardzo nieznośnej dla nosa każdego innego europejczyka. „Le moineau” — wróbelek, szczoteczka w niklowej oprawie, zbierająca okruchy z jadalnego stołu. Szczotki automatyczne, zmywaki, suszarki, pralki... ach! żeby to móc wiedzieć, złe czy dobre?! Szklany przyrządek, podobny do Weck'a, wytwarza próżnię, pozwala konserwować jaja, mięso, wogóle wszystkie łatwo psujące się produkty — bez powietrza. Odwapniacz wody, przemienia wodę twardą na miękką. Ważne dla tych, co myją włosy.

— Sól idealnie czysta. Zechce pani skosztować?

— Dziękuję, wierzę pani na słowo.

I tak już dosyć się nakosztowałam różnych buljonów i kaw, z mlekiem i bez. Teraz jeszcze kosztuję za franka „cidre'u“ normandzkiego. Wyborny napój, coś naksztalt musującej madery. Robi się z jabłek. My też mamy jabłka, a nie umiemy robić cidre'u — dliczego?

Win jest na wystawie dużo, wszędzie „degu-stacja“; spora lampka za franka lub dwa. Kosztuje tu i tam. Mebli, lamp, tapet, wszelkiego bric à brac u też jest dużo, ale jakże wszystko brzydkie! Kto śmie mówić o niezawodnym paryskim smaku?! W Warszawie nie zniesiono by takiego nagromadzenia niegu-stownej tandety. Ta hala zdaje się wogóle nie mieć końca. Jeszcze kawa, jeszcze buljon, jeszcze wina... Gorące ciasteczka z serem, jakieś specjalne wafle... A, i ciastka, smażone na żelazku na gorącym szmalcu, takie same, jak na wszystkich wystawach warszaw-skich. A jeszcze i kawa, i czekolada z maszyny, i go-rące croissant'y, i brioski, któremi delektują się przy comptoir'ach wszystkich narożnych, robotniczych brasseries. Tym razem jednak spoglądam na nie ze zdecydowaną antypatją.

Chciałabym wyjść... lecz którądy? Wszędzie tyle, tyle podobnych do siebie stoisk... i ta hala bez po-czątku i końca, i ta kawa z buljonem i winem...

— Vous desirez quelque chose, madame? — za-pytuje z wersalską galanterją siwowłosy pan w gra-natowej liberji.

— Oh, oui, monsieur! Sortir...

Uśmiecha się pobłażliwie pod białym wąsem.

— Oh, alors, madame, c'est par là.

Dobroduszną tolerancyjność paryżan dla przy-jezdnych cudzoziemców jest bezgraniczna. Niema zresztą czemu się dziwić: etranżerzy są tak poważnym źródłem dochodu! A swoją drogą, „rewolucja, ma-jąca wyzwolić kobiety“, zbytnio mi nie zaimponowała.

Jadwiiga Kierwnarska.

GIMNASTYKA PORANNA

Gimnastyka codzienna jest nieodzownym warun-kiem zdrowia i tężyzny fizycznej. Kwadrans gimna-styki codziennej ma o wiele większą wartość zdrowot-ną, niż gimnastykowanie się w zespołach dwa razy tygodniowo.

Dziś przystępuję do dania pewnych wskazówek tym paniom, które nie mogą korzystać z bezpośred-nich instrukcyj osób fachowych i które nie zaopa-trzyły się w odpowiedni podręcznik.

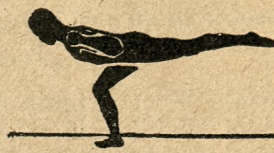
Gimnastykę prowadzimy przy otwartem oknie, lub w pokoju dobrze przewietrzonym. Najlepiej jest ćwiczyć zupełnie nago, gdyż wtedy mamy jeszcze ką-piel powietrzną, która jest nieodzownym warunkiem higieny skóry. Ponieważ część ćwiczeń wykonywa się w postawie leżącej lub siedzącej, więc dobrze jest roz-łożyć na podłodze prześcieradełko z grubego wiejskie-go płótna.

Kolejność ćwiczeń w tym kwadransie gimnasty-ki nie odgrywa większej roli, należy jednak pamiętać o następujących zasadach:

1. zaczynać od ćwiczeń mniej męczących, prowa-dząc stopniowo do ruchów, wymagających większego wysiłku, poczem znów przejść do ćwiczeń łagodniej-szych, aby stopniowo uspokoić organizm;



rys. 1.



rys. 2.



rys. 3.

2. odrazu parę pierwszych ćwiczeń powinno rozruszać wszystkie nasze stawy i mięśnie.

Zanim przejdę do podania przykładów szeregu ćwiczeń na poszczególne grupy mięśni i stawów, po-wiem jeszcze parę słów o postawie.

Najczęstszą wadą naszej postawy jest przygar-bienie oraz zbytnie wygięcie w lędźwiach, przez co brzuch podany jest ku przodowi. Zaczynamy więc od przybrania należytej postawy. Stopy powinny być zwarte (dawne rozwarcie stóp zostało już przez wielu metodyków zarzucone, jako postawa nienaturalna), zewnętrzne strony stopy silnie przyciśnięte do podłogi. Mięśnie brzuszne i mięśnie pośladków silnie ściągnię-te, tak, aby dół miednicy był skierowany raczej ku przodowi, a wygięcie w krzyżu było zredukowane do minimum. Po ustaleniu miednicy poprawiamy po-stawę w górnej części ciała. Wadą dawnej postawy „na baczność“ było to, że klatkę piersiową podawano do przodu przez silne wygięcie się w lędźwiach. Tym-czasem położenie klatki piersiowej należy poprawić przez silne ściągnięcie łopatek ku tyłowi i opuszczenie ramion w dół. Głowę poprawiamy przez cofnięcie do tyłu kręgow szyi.

Przybranie postawy wymaga naprężenia mięśni— potem więc rozluźniamy wszystkie mięśnie, poczynaj-ac od nóg.

Możemy teraz przystąpić do ćwiczeń. Z powyżej podanych przykładów należy przerobić jedno, do trzech ćwiczeń z każdej grupy. W każdej grupie stopniowanie trudności ćwiczeń oznaczone jest wzra-staniem numerów.

A. Ćwiczenia głowy i szyi.

1) Skłon głowy w tył i wprzód (najlepiej w po-stawie siedzącej na podłodze, kolana ugięte, ręce obejmują kolana); 1a) skłon głowy w bok; 1b) skręt głó-wy w bok.

Przy wszystkich tych ćwiczeniach nie zmienia-my postawy tułowia.

B. Ćwiczenia ramion.

1) Z postawy siedzącej (j. w.) lub stojącej wy-mach ramienia przodem w pion i szybki rzut wdół. Ramię idzie w górę swobodnie, wyprostowane, opada zgięte, jakby pod własnym ciężarem. To samo oba ramiona równocześnie.

1a) Wymachy ramion naprzemian przodem, w górę i wdół do tyłu. Ramię, które idzie wprzód, jest zgięte w łokciu; przechodząc do tyłu, wyprostowuje się swobodnie.

1b) Podniesienie prostych ramion w bok i trzy-krotny szybki ruch do tyłu (wykonywać lepiej w po-stawie siedzącej).

C. Ćwiczenia nóg i równoważne.

Jeżeli przy ćwiczeniach nóg zostajemy przez dłuższą chwilę na jednej nodze, wtedy mamy t. zw. ćwiczenie równoważne, wymagające koordynacji i

opanowania nerwowego. Jeżeli przy tem zmniejszeniu podstawy zmieniamy w ciągu ćwiczenia położenie środka ciężkości, wtedy utrudniamy jeszcze bardziej utrzymanie równowagi.

1) Wznos kolana do przodu; 2) wymach nogi do przodu i do tyłu (noga wprzód idzie prosta, wtył ugięta); 3) wymach nogi wprzód tak, aby ręką schwytać palce stopy (rys. 1); 4) wznos nogi do przodu i wolne przenoszenie jej w bok oraz wtył; 5) wznos nogi do tyłu przy jednoczesnym ugięciu kolana nogi stojącej i opadaniu tułowia wprzód (rys. 2); 6) innym ćwiczeniem nóg będzie przysiad, czyli niskie ugięcie obu kolan z jednoczesnym wzniesieniem się na palce. Stopy i kolana powinny być złączone. Przysiad robimy tak głęboko, żeby palcami rąk dotknąć podłogi z boków kolan. 7) Przysiad na jednej nodze (rys. 3) jest ćwiczeniem, wymagającym bardzo wyrobionych mięśni i należy go zaczynać, opierając się jedną ręką o stół.

D. Ćwiczenia mięśni tułowia.

Większość podanych ruchów ćwiczy jednocześnie kilka grup mięśniowych, dlatego też nie uwzględniamy dawnego podziału na ćwiczenia mięśni pleców, brzucha i mięśni bocznych. Przy każdym ćwiczeniu natomiast podajemy w nawiasie grupę mięśni, które biorą główny udział w danym ruchu.

1. Ukłon japoński. (rys. 4). Klękamy na podłodze tak, że siadamy na piętach. W tej pozycji wznosimy ramiona wpion i pochylamy tułów wprzód tak, aby dłonie położyć na ziemi. Głowa powinna być między rękami (mięśnie pleców).

2. Stojąc w rozkroku, wznosimy ręce wpion i skłaniamy tułów wdół tak, aby obie ręce dotknęły palców lewej stopy (rys. 5). To samo w prawo. Głowa między rękami (mięśnie pleców i boczne).

3. Skłon wprzód w siadzie. Siedząc na podłodze z wyciągniętymi płasko nogami, wznosimy wpion ręce i pochylamy tułów tak nisko, aby rękami dotknąć palców stóp. Należy dobrze pracować plecami, tak, aby ręce były dokładnym przedłużeniem pleców, a nie opadały niżej. Głowa między rękami (mięśnie pleców).

4. W klęczce opieramy obie ręce na podłodze przed sobą (ramiona i uda mają kierunek pionowy, a tułów — poziomy), poczem prostujemy do tyłu najpierw jedną nogę, potem drugą. Pozycję tę nazywamy podporem (mięśnie brzuszne). Teraz, nie uginając kolan, przysuwamy drobnymi kroczkami nogi do rąk, wznosząc krzyż w górę. Im bliżej przysuniemy nogi, tem trudniejsze będzie ćwiczenie (mięśnie pleców i pośladków) (rys. 6).

1a) Stojąc w rozkroku, lub ze zwartymi stopami, rzucamy oba ramiona wlewo, skręcając równocześnie tułów. Ręce swobodnie ugięte w łokciach, jedno ramię zawsze odrzucone do tyłu, drugie przed sobą. Następnie przenosimy oba ramiona wprawo i powtarzamy to samo kilka razy w szybkim tempie (mięśnie boczne).

2a) W siadzie płaskim (t. zn. nogi wyciągnięte



rys. 7.



rys. 8.

na podłodze) przenosimy obie ręce wprawo, starając się jaknajdalej za sobą dotknąć podłogi. Następnie przenosimy ręce na lewą stronę i tak powtarzamy ćwiczenie kilka razy (mięśnie boczne).

3a) Stojąc na podłodze, unosimy jedną nogę w bok i opieramy ją o niski stółek, lub wyciągniętą szufladę (wysokość około 30 cm.). Następnie pochylamy tułów w bok, w kierunku opartej nogi. Jedna ręka posuwa się lekko wzdłuż opartej nogi, starając się sięgnąć jaknajdalej; druga, swobodnie ugięta nad głową, pomaga ruchowi tułowia (mięśnie boczne).

4a) W klęczce podpartej (p. wyż. ćw. D. 4) robimy wymach ramienia bokiem w górę z jednoczesnym skrzętem tułowia (rys. 7). Głowa patrzy na dłoń, robi więc skrzęt równocześnie z ramieniem (mięśnie pleców i boczne).

1b) W siadzie płaskim na podłodze posuwamy jedną nogę wprzód po podłodze, następnie dosuwamy do niej drugą. Nóg nie można zginać w kolanach, przez co posuwamy się zaledwie o parę centymetrów przy każdym ruchu (ćwiczenie miednicy i mięśni brzusznych).

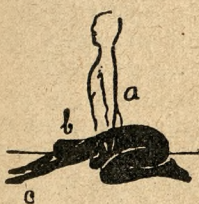
2b) W klęczce podpartej (p. wyż.) wyciągamy jednocześnie lewą rękę wprzód, a prawą nogę wtył. Noga prosta w kolanie stanowi przedłużenie poziomej linii tułowia, ręka prosta w łokciu. Głowa patrzy na rękę (rys. 8). To samo naprzemian (ćwiczenie mięśni brzusznych, ramion i pośladków).

3b) Klękamy na ziemi i z tej pozycji siadamy na bok. Jest to jedna z najnaturalniejszych i najzdrowszych pozycji siedzących, o ile będziemy siadali raz na prawą, raz na lewą stronę. Siedzimy na boku jednego pośladka, a stopy, leżące bokiem na podłodze, dosunięte są do drugiego pośladka. Z tej pozycji siadu przechodzimy, bez pomocy rąk, do wyprostowanej klęczki, poczem siadamy na drugą stronę. Ćwiczenie to, stosowane przez Dr. Lewicką w Druskienikach, jest bardzo pożyteczne dla osób, które mają nadmiar tkanki tłuszczowej na brzuchu (mięśnie brzucha).

4b) Leżąc nawznak na ziemi, unosimy jedną nogę, zgiętą w kolanie i prostujemy ją skośnie w górę. W chwili, gdy tę nogę prostujemy, drugą unosimy zgiętą. Ten ruch zginięcia jednej, a prostowania drugiej nogi, przypomina ruch nóg na rowerze. Po wykonaniu parę razy tego ruchu — odpoczywamy, opuszczając nogi na podłogę. Im wolniej wykonywamy to ćwiczenie, tem jest trudniejsze (mięśnie brzucha) (rys. 9).

5b) Leżąc nawznak na ziemi, podnosimy obie nogi wolno do pionu. Im wolniej podnosimy i opuszczamy nogi, tem lepiej pracują mięśnie brzuszne. Częstą wadą ćwiczących jest to, że przy tem ćwiczeniu zatrzymują oddech, co jest b. szkodliwe. Cały czas przy podnoszeniu i opuszczaniu nóg należy równo, spokojnie oddychać.

6b) Z tej samej pozycji leżenia nawznak, podnosimy się wolno do siadu. Nóg nie należy odrywać od ziemi, plecy powinny być zupełnie proste, głowa odrzucona lekko do tyłu (mięśnie brzucha).



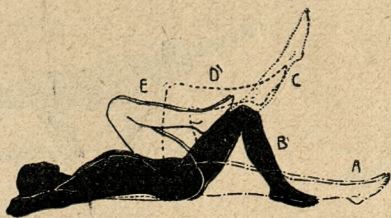
rys. 4.



rys. 5.



rys. 6.



rys. 9.

E. Marsze, biegi, skoki.

Jeżeli pokój jest o tyle duży, że można w nim swobodnie chodzić i biegać, to nie powinniśmy zaniedbać tych ćwiczeń. Między ćwiczeniami dobrze jest zrobić trochę marszu, lekkim, rytmicznym krokiem, oraz zastosować lekki, wolny bieg.

Skokami w gimnastyce porannej będą bądź zwykłe podskoki, bądź np. podskoki z rozkroku do postawy zwartej i odwrotnie. Skaczemy zawsze na palce, kolana uginamy lekko do przodu.

Jak już zaznaczyłam, kolejność ćwiczeń dobieramy w ten sposób, aby zakończyć ćwiczeniami łagodnymi, lekkimi, np. wznoszenie ramion, ruchy głowy, podnoszenie się na palce, marsz i t. p.

Po skończonych ćwiczeniach zmywamy starannie całe ciało mydłem i wycieramy szorstkim ręcznikiem.

W. Prażmowska.

JAK PRAĆ WEŁNIANĄ GARDEROBĘ

Staranne i dokładne pranie wełnianych ubrań jest bardzo cenną umiejętnością. Każdej upranej sztuce garderoby przywraca świeżość i estetyczny wygląd, czyniąc ją jednocześnie higieniczną. Ta umiejętność ma szczególne znaczenie dla mieszkanki prowincji, które nie zawsze mogą korzystać z usług pralni chemicznej. A zresztą i w mieście zaoszczędzenie kilku złotych przyda się niewątpliwie każdej praktycznej pani domu.

Prać trzeba, stosując się dokładnie do podanych wskazówek, gdyż tylko wtedy można mieć pewność, że prany przedmiot się nie zmarnuje. Rozróżniamy dwojaki rodzaj prania: jeden w wodzie cieplej, drugi — w zimnej.

Do prania w wodzie cieplej trzeba używać bardzo dobrego mydła krajowego lub też marsylijskiego (nie żałować ilości mydła!). Wrzuca się cały kawałek mydła do naczynia, w którym mamy prać, wlewając gorącą wodę. Skoro się woda zabieli, wyjmujemy się mydło i dolewa się tyle zimnej wody, żeby rozczyn miał temperaturę letnią. Wtedy wkłada się ubranie, przeznaczone do prania, bardzo dokładnie zanurzając obiema rękami. Potem mydli się po kawałku, trąc zlekka w rękach i wygniatając w wodzie dosyć długo. Zmienia się wodę, powtarzając pranie zupełnie w ten sam sposób. Prać trzeba tak długo, dopóki woda nie będzie zupełnie czysta. Na czas zmiany wody trzeba przedmiot prany wyjąć i rozłożyć, żeby nie pozachodził.

Po upraniu wypłókać kilkakrotnie w letniej wodzie, następnie bardzo mocno wyjąć, składając równo. Najlepiej przepuścić 2 — 3 razy przez wyżymaczkę. Potem mocno roztrząpać, przewrócić na lewą

stronę i powiesić w przewiewnym miejscu (nie na słońcu i nie przy piecu).

Jeżeli prane było ubranie z materiału wełnianego fabrycznego, trzeba je uprasować, dopóki jest jeszcze zupełnie wilgotne. Prasować po lewej stronie gorącym żelazkiem (uważać, żeby się nie przypaliło). Prasować trzeba do zupełnego wysuszenia i wygładzenia powierzchni.

Ubrań z trykotów lub z włóczki nie wiesz się, a rozkłada się na podłodze lub na stole prawą stroną na bardzo grubym prześcieradle, złożonym w kilkoro (najlepiej kąpielowe). Kłaść trzeba bardzo równo, wygładzając wszelkie załamania i uważając, żeby się nigdzie nie ciągnęło. Po pewnym czasie, gdy trochę podeschnie, przełożyć na drugą stronę. Po zupełnym wyschnięciu przedmiot będzie jak nowy.

Drugi system prania polega na użyciu zimnej, nawet bardzo zimnej wody. Osobno rozpuszcza się proszek „Radjon“, licząc dobrą garść na 4 litry wody, rozbija się mocno, przecedza przez sitko do naczynia, w którym się ma prać. Ubranie zanurza się tak samo starannie obiema rękami i wygniata mocno i długo. Podczas zmiany wody wrzuca się prane ubranie do naczynia z zimną wodą. Pranie powtarza się w świeżym roztworze do czasu otrzymania zupełnie czystej wody.

Płókać trzeba wielokrotnie, również w bardzo zimnej wodzie.

Wyżymać, suszyć, prasować wyżej wskazanym sposobem. Przy tym systemie uprana wełna wygląda, jak nowa. Tylko, że zimą bardzo marzną ręce, ale to nie powinno zrażać porządnej i praktycznej pani domu.

Mabel.

COCKTAILE

Każdy nieomal sezon wnosi w życie jakieś nowości. Przoduje wszystko to, co jest związane z modą toaletową, jednakże i w zwyczajach nakrywania stolów, szeregowania potraw, podawania trunków i napojów dają się zauważyć wskazania, które przychodzą do nas z Zachodu, ciesząc się krótszym, dłuższym, mniej lub więcej entuzjastycznym powodzeniem.

Tak też dzieje się i z modą podawania cocktailli. Zagranica szaleje na tym punkcie od szeregu lat, wplatając cocktail w całość dnia i wieczora. Staje się on nieodzownym uzupełnieniem zarówno gorących dni letnich, jak i chłodnych okresów zimowych. Zapamiętanie na tym punkcie posuwa się tak daleko, że jeden i ten sam napój ma *podobno* w lecie właściwości *chłodzące* — w zimie *rozgrzewające*, a zawsze i niezmiennie dostarcza swoim wyznawcom rozkosznej podniety, która prowadzi często do nadużycia.

Szeregi barów publicznych o charakterze prostym, aż do wyszukanego wykwintu, z jakim stolicy Zachodu, pierwszorzędne miejscowości klimatyczne i kąpielowe urządzają tego rodzaju „świątynię“, są najlepszym dowodem, że cocktail — to bóstwo chwili, to ostatni krzyk mody, którego żywot przetrwa niejeden kaprys, zrodzony pod przejściową gwiazdą.

W letnich siedzibach, projektowanych w erze cocktaillu, architekci nie zapominają nigdy o „barze“, umieszczanym na mansardach o spadzistych sufitach, w zacisznych kąciach hall'ów, we wnękach, w które wyposażają pokoje bilardowe, lub czytelnie.

Kto posiada letnią siedzibę z epoki „przed cock-

tailowej“; urządza bar na poddaszach, nadając mu swoisty charakter, przystosowując do zgóry zakresłych wymagań.

Ściany, podłogi, sprzęty baru (bufet, za którym przyrządza się tęczowe napoje, i wysokie taborety, przeznaczone dla tych, którzy się tym trunkiem rozkoszują) powinny być z materiału podatnego do utrzymania we wzorowej czystości. Ściany lakierowane; podłogi z terakotowych płytek, zarzucone plecionymi matami; taborety i bufet lakierowane na wesoły kolor; w zacisznym kąci kilka głębokich, miękkich foteli, o linjach wysoce modernistycznych; niziutkie stoliki, jakby stworzone do służenia tym, którzy w godzinie rozkosznego lenistwa wykluczają konieczność „męczących“ gestów, chcąc mieć wszystko „pod ręką“.

Tak jest na Zachodzie. U nas spotyka się cocktaile w pierwszorzędnym restauracjach i kawiarniach, w niektórych domach prywatnych, hołdujących modzie. Nie buduje się im jeszcze specjalnych przybytków i nie bije pokłonów. Czy staną się one i kiedy integralną częścią współczesnego człowieka, czy wejdą nam „w krew“, tak, jak weszły francuzom, anglikom i amerykańcom — o tem trudno wyrokować.

Na takie oddanie się *duszą i ciałem* modnemu kaprysowi, który każe przebudowywać domy na części pomieszczenia w ich ścianach baru, mamy, na szczęście, nie dosyć snobizmu, no i zbyt mało pieniędzy i czasu.

A teraz uchylmy rąbek zasłony, poza którą kryje się to, co uwielbiają nasi współbracia.

Co to jest cocktail? Cocktail jest to mieszanina trunków alkoholowych, soków owocowych, zestawiona indywidualnie, skłócona zapomocą miarowych ruchów, jakimi potrzebujemy naczynie, zwane „shaker“, doprowadzona do niskiej temperatury, podana w płaskich kieliszkach, pułkarkach szklanych, wyziębionych lodem; mieszanina, nad której zestawieniem pracują barmani, lub piękne panie, szczytujące się indywidualnymi wynalazkami, wprowadzając tysiące poprawek, próbując, dodając, ujmując kropla po kropli przeróżnych nektarów, na których podstawie wyłania się wkońcu „arcydzieło“.

Cocktaile noszą fantastyczne nazwy. Każdy nowonarodzony dostaje imię własne, pochodzące albo od jego części składowych, albo też od wpływu, jaki wywiera na samopoczucie człowieka.

Vermouth cocktail — oto imię własne, pouczające nas o tem, że powstał on na podstawie Vermouthu. Cocktail, znany pod mianem „Vie en rose“, mówi sam za siebie, obiecując temu, kto wysączy cudowny napój, „różowe“ ustosunkowanie się jeżeli już nie do życia, to chociaż do bieżącej chwili.

Przepis na przyrządzenie tych dwóch i kilku odmiennych napoi jest następujący:

Vermouth cocktail: Wlać do doskonale wyziębionego lodem naczynia do mieszania cocktailu (shaker) $\frac{1}{8}$ dużego kieliszka od wina ginu, $\frac{1}{8}$ vermouthu francuskiego, $\frac{1}{8}$ vermouthu włoskiego, sok z pół pomarańczy. Zmięszać wszystko doskonale, przelać do szklanego pułkarka, dając na dno dwie łyżeczki drobno-tłuczonego lodu sztucznego; na wierzchu położyć plasterki pomarańczy ze skórką. Pije się ten cocktail przez krótką słomkę.

Vie en rose: duży pułkarek na nóżce wypełnić w $\frac{1}{4}$ drobno tłuczonym lodem sztucznym, wlać na lód: kieliszek od likieru grenadiny, sok z pół cytryny, kieliszek likieru białego kirschu, wymięszać łyżeczką, dolać do pełna wody sodowej. Podawać natychmiast.

Cocktail Tip-Top: Duży kieliszek od szampana

wypełnić w $\frac{1}{8}$ drobno tłuczonym lodem, wlać na lód kieliszek likieru curaçao, dopełnia zamrożonego szampana, na wierzchu położyć plasterki pomarańczy, albo cieniutki kawałek ananasa.

Cocktail „White Lion“: łyżka drobno tłuczonego lodu sztucznego, łyżeczka od kawy cukru-pudru, sok z pół cytryny, 2 kieliszki likieru curaçao, łyżeczka od czarnej kawy soku malinowego, kieliszek rumu. Wymięszać łyżeczką, przybrać wiśniami bez pestek i podawać natychmiast.

Cocktail „Touche me not“: sok z pół cytryny, kieliszek likieru curaçao, kieliszek nalewki na czarnych porzeczkach, kieliszek rumu, zmięszać w shakerze, doskonale wyziębionym lodem, wlać do płaskiego kieliszka na lód drobno tłuczony.

Cocktail „Point Bleu“: na dno dużego kieliszka od szampana dać dwie łyżki drobno tłuczonego lodu, wlać łyżkę soku pomarańczowego, $\frac{1}{2}$ kieliszka curaçao, kieliszek maraskina, kieliszek grenadiny, dolać do pełna szampana, wymięszać łyżeczką, położyć na wierzchu plasterki pomarańczy; podawać natychmiast.

Cocktail „White Lady“: $\frac{2}{3}$ kieliszka od madery białego likieru miętowego, $\frac{1}{6}$ kieliszka od madery likieru triple sec cointreau, $\frac{1}{6}$ kieliszka od madery konjaku francuskiego, zmięszać w shakerze, wlać do wysokiego kieliszka na drobno tłuczony lód.

Przyrządzanie cocktaili nie da się ująć w żadne specjalne prawidła. Mieszanki są indywidualne, dobór smaku również. Nie można jednak nigdy ryzykować podawania cocktaili niewypróbowanych, są bowiem zestawienia, w smaku i działaniu ujemne. Jeżeli w doborze wchodzących w skład mieszaniny trunków *sztuka przyrządzania* cocktailu pozostawia dużą swobodę, to jednak kierują nią pewne zasadnicze prawidła, związane z *teorią przyrządzania*, a więc:

Jeżeli używamy soku cytrynowego, trzeba go cedzić przez maleńkie siteczko, aby miąższ nie wpadł do napoju; sok cytrynowy dawać zawsze na dno kieliszka, bo wtedy tylko łatwo połączy się przy mieszaniu z napojem; wszystkie napoje, przyrządzane na podstawie win, lub wód *musujących* (wino szampańskie, woda sodowa, woda selcerska), nie powinny być mięszane w shakerze, a łyżeczką w tem samym naczyniu, w którym będą podane, to znaczy od razu w pułkarku, albo kieliszku; korek z kropłomierzem do odmierzania dodatków, podnoszących smak cocktailu. — jak angostura i przeróżne wonne esencje, które dodają cocktailom swiego aromatu — powinno się mieć zawsze pod ręką; jeżeli nie posiadamy specjalnego przyrządu do rozkruszania dużych kawałków lodu na drobne, używane do cocktailu, trzeba zawinąć lód w czystą płócienną ściereczkę i uderzyć kilkakrotnie młotkiem drewnianym; nie dawać nigdy lodu zbyt miałko potłuczonego, gdyż rozpuszczając się gwałtownie, rozcieńcza napój; podawać cocktaile bardzo silnie zamrożone, albo wlewane na lód.

Cocktaile podaje się na 15 — 20 minut przed drugim śniadaniem, obiadem, kolacją, w godzinach podwieczorkowych, jako napoje odświeżające, wreszcie w dowolnych godzinach wieczorowych, np. w czasie zabawy tanecznej, podczas gry w karty, przeciągającej się długo w noc. Zarówno rodzaje cocktaili, pora podawania ich, jak i rodzaj szkła, jakie niemi napełnimy, są dowolne, trzeba jednak zarówno przyrządzając, jak i podając, kierować się wyrobionym smakiem i dużym poczuciem estetycznym.

Wanda Dobrzańska.

NA TEMAT DOBRZE ZORGANIZOWANEJ ŚPIŻARNI

Dobre zorganizowanie spiżarni jest tematem zbyt obszernym, aby go można było wyczerpać w krótkim, dziennikarskim artykule. To, co dziś tutaj napiszę, będzie więc właściwie tylko odpowiedzią na parę listów Czytelniczek, pytających, czy w mieście warto robić zapasy spiżarniane, które, rzekomo, się psują i marnują; bo się o nich nie pamięta, a przy tem brak miejsca na ich przechowywanie.

Każda gospodyni może, oczywiście, rządzić się według własnego uznania, lub nawet widzimi się; jednak najprostszy rachunek wskaże, że wszelkie zapasy spiżarniane, a głównie wszelkie przetwory owocowe i jarzynowe, wykonane w domu, są o połowę, czasem znacznie więcej tańsze od kupnych, a prawie zawsze smaczniejsze i zdrowsze. Oczywiście, komu takie zapasy stale się psują i marnują, ten lepiej zrobi, nie tracąc na nie czasu i pieniędzy.

O ile są jednak dobrze wykonane, psuć się nie powinny.

W starych domach rzeczywiście mało uwzględniano potrzeby gospodarcze i jeżeli budowano spiżarnie, to chyba do każdego innego użytku, lecz nie do przechowywania zapasów. W ścianie południowej, latem rozpalonej, lub północnej, zimą przemarzającej. Najczęściej ciemne, jakieś ukośne, lub tak wąskie, że, jeżeli są półki, to wejść do spiżarni nie można, a nieraz nawet brak miejsca na półki, i t. p.

W nowych domach, przy znacznie bardziej ograniczonej przestrzeni, kwestja ta o wiele lepiej jest postawiona. Spiżarka jeśli nawet mała, jest widna, z oknem na północ, co zabezpiecza od letnich upałów, i przy ścianie kuchennej, co chroni od przemarzania w zimie.

Jeśli niema specjalnej spiżarni, to są zwykle liczne ścienne szafy, z których jedną lub nawet parę przeznaczyć można na zapasy spiżarniane.

Przecież najbardziej rozpowszechnione zapasy, jak: konfitury, syropy, marmelady, powidła, marynaty i pikle, na średnią rodzinę nie robią się w takich

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“



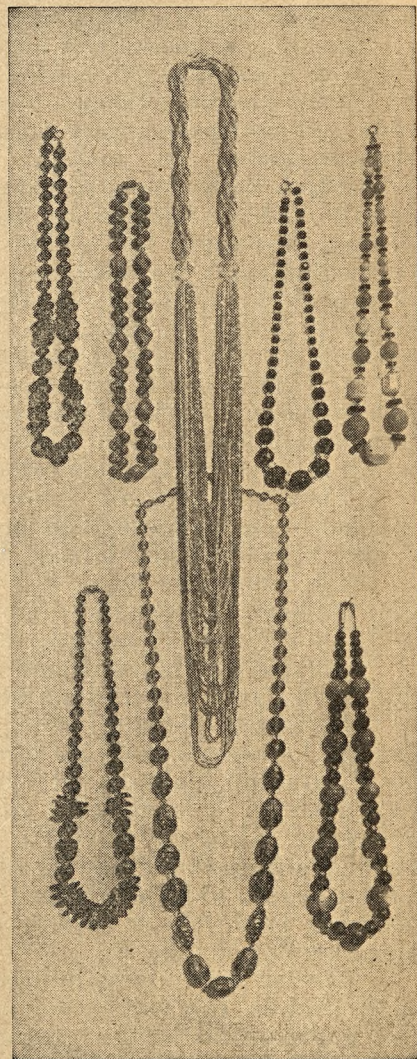
Kto wniesie wprost do naszej Administracji 30 zł., t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą z góry,

OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJĘ, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), w dowolnym kolorze, niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczęta, z dołączonemi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁOŃSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymenić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij każda 20-ta prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę otrzyma prześliczne wydawnictwo „Sztambuch - Skarbnica romantyzmu“ w opracowaniu St. Wasylewskiego. Każda setna, dwuchsetna i t. d. otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. t. „Świat Kobiocy“.



Zwracamy uwagę, że do premji mają prawo tylko osoby, opłacające pełną półroczną prenumeratę, t. j. 30 zł. Prenumeratorki, korzystające z ulg, premji nie otrzymują.

olbrzymich ilościach, aby się w przeciętnej szafie o pięciu, sześciu półkach zmieścić nie mogły. Konfitury i syropy, jako doskonale znoszące temperaturę pokojową, można trzymać w jakiejś części kredensu, oddzielnie zamykanej. Taka kredensowa boczna szafa może zmieścić około trzydziestu słoików i butelek. Latem, kiedy w jadalni zbyt gorąco, konserwy nasze mogą powędrować do pieców, stanowiących doskonale miejsce przechowania; zresztą latem mamy przeważnie tylko puste słoje i zaczynamy je napełniać nowymi zapasami.

Słoje i butelki próżne nie powinny zajmować miejsca w szafach: starannie wymyte i wysuszone, układa się na płask w jakiej skrzyni lub koszu w kurytarzu, na strychu, a nawet w piwnicy.

Kompoty, sałaty octowe, grzybki i pikle doskonale się przechowują w szafach ściennych, mających tę zaletę, że są dosyć płaskie, czyli że się widzi nietylko ich zawartość, lecz i stan poszczególnych słoje i butelek. W takiej szafie, o ile sucha, możemy ponabijać świeczków i ponad słojami rozwiesić torebki z grzybami, suchymi jarzynami i owocami, lub kazać porobić gęstsze półki i na nich trzymać nieduży zapas konserw rybnych i jarzynowych.

Suche wędliny i słonina mogą wisieć na ścianie kurytarza — oczywiście, włożone w worek z rzadkiego płótna, nie dopuszczającego kurzu i owadów, lecz nie tamującego przystępu powietrza (konieczny warunek, aby nie pleśniały).

Suche produkty — kasze, mąki, grochy i t. p. — zakupione na miesiąc, lub chociaż na dwa tygodnie, mogą też znaleźć miejsce w jakiej szufladzie lub w kredensie kuchennym, gdzie powinien być stale potrzebny zapas korzeni i artykułów, używanych dla zapachu.

Kilka butelek wina, ułożonych poziomo w dolnej kondygnacji ściennej szafy, uzupełni zapasy niedużego gospodarstwa miejskiego i będziemy mieli dobrze zaopatrzoną spiżarnię — bez właściwej spiżarni.

Co może być okropniejsze od gospodarstwa, gdzie się wszystko codziennie, potrochu kupuje?! Mam wrażenie, że w taki sposób więcej się płaci za torebki i papiery, niż za właściwy towar.

W takim gospodarstwie każde najmniejsze przyjęcie, każde niespodziane przyjście gości staje się niemal katastrofą. O ile sklepy są już zamknięte, nic się nie ma do podania; o ile sklepy są otwarte, okazuje się, że trzeba kupić tyle rzeczy, iż gospodarstwo wolał zrezygnować z przyjęcia.

No, a teraz o tem psuciu się i marnowaniu zapasów.

Podobno główną przyczyną tego jest niemożność pamiętania wszystkiego, co nasza spiżarnia mieści, i użycia tego we właściwym czasie.

Na to niema innej rady, tylko należy prowadzić porządną inwentarz tych zapasów, notować zużyte, świeżo zrobione i mieć zawsze ich dokładną ewidencję.

Można to skutecznie, umieszczając na drzwiach szafy, czy oddziału kredensu arkusz papieru ze spisem złożonych tam zapasów i z rubrykami odpowiedniami do notowania ołówkiem zasztych zmian.

Bardzo praktyczny dział spiżarniany zawiera „Książka Rachunkowa Kobiety Polskiej“ (wydawnictwo „Bluszezu“). Są tam na każdy miesiąc trzy rubryki, zatytułowane: użyto, dokupiono (ewentualnie dorobiono), pozostało; a więc gospodyni w każdej chwili może wiedzieć, co posiada i co użyć może lub musi.

Niezależnie od takiej stałej ewidencji bogactw

spiżarnianych, są tam wymienione poszczególne artykuły, które w każdej dobrze zorganizowanej spiżarni znajdować się powinny, że wymienię tutaj tylko grupy tych artykułów: mączne i kaszane; nabiał i tłuszcze; kolonjalne; napoje; wędliny; marynaty; konserwy owocowe; korzenie; inne artykuły gospodarcze.

Do tych ostatnich należą artykuły, potrzebne do prania, do porządków domowych, do czyszczenia ubrań i mebli i tym podobne rzeczy, o których się tak często zapomina, a których brak nieraz sprawia kłopot, gdyż sklepy nie są otwarte przez dwadzieścia cztery godziny.

Jedyną więc radą, jaką mogę dać moim korespondentkom — o ile wogóle dadzą się przekonać o konieczności robienia zapasów nawet w dużych miastach, nawet w stolicy — jest urządzenie spiżarni według „Książki Rachunkowej Kobiety Polskiej“ i prowadzenie w niej rachunkowości według podanych tam rubryk.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

Na bardzo serdeczną i trochę żalną prośbę jednej z warszawskich Czytelniczek „Bluszezu“ podaję dzisiaj tylko same jarskie dania.

PUREE Z KARDÓW.

Po użyciu zewnętrznych, grubych, doskonale wybielonych lodyg kardów na jarzynę, pozostają wewnętrzne lodyżki cieńsze i listki, również dobrze wybielone, które się zwykle marnują. Można z nich zrobić wyborne purée. Na cztery osoby wziąć takie środki z dwóch czy trzech kardów (wagi około 75 deka), ugotować do miękkości w dobrze osolonym wrzątku, ocedzić na sicie, przepuścić przez maszynkę. Łyżkę masła (5 deka) przesmażyć na białą z łyżką mąki (4 deka), włożyć przetarte kardy, smażyć jeszcze, nie dając się zarumienić, i dolewając potrochu szklanek słodkiej śmietanki, lub dobrego, niezbiernego mleka. Dosolić do smaku; kto lubi, może dodać łyżeczkę cukru. Nakoniec jeszcze włożyć łyżeczkę od herbaty najlepszego, śmietankowego masła, wybić mocno łyżką, nie gotując więcej. Ułożyć na półmisku i otoczyć wkoło grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle.

KARTOFLE PO WŁOSKU.

Osiemdziesiąt deka obranych na surowo kartofli ugotować — najlepiej na parze, w specjalnym rondelku — poczem utłuc, lub przepuścić przez maszynkę do kartofli, czy przez zwykłą maszynkę do mięsa. Dwie bułeczki (warszawianki) wymoczyć w mleku, wycisnąć doskonale, przepuścić wraz z temi kartoflami przez maszynkę. Dodać piętnaście deka masła i ucierać tę masę na misce, dodając, po jednym, pięć żółtek i tyle mleka, aby masa lekko się ucierała i dobrze spulchniała. Osolić do smaku, popieprzyć białym pieprzem, lub łagodną papryką. Pozostałe białka ubić na pianę, wymieszać ostrożnie. Ułożyć w ładną kopykę na metalowym półmisku, wysmarowanym masłem i posypanym bułeczką. Ukarbować wierzch w karpia łuskę. Posypać tartą bułeczką z serem i wstawić w średnio gorący piec. Gdy się ładnie zrumieni i urosnie, podawać wprost z pieca. Zimą do tego czysty sos pomidorowy; latem — sałata głowiasta, obficie zaprawiona śmietaną; jesienią — sałata pomidorowa.

KARTOFLE NADZIEWANE PIECZARKAMI.

Bardzo duże, podłużne kartofle (pięć do sześciu sztuk na kilo) obrać, przekrajać wzdłuż na pół, lekko ściąć denko każdej połówki, aby mogła stać równo. Łyżeczką żelazną wydrą-

żyć środki, pozostawiając ścianki na centymetr grube. Osolić te kartofle, ustawić na brytfannie, nasypać w każdy surowego grochu i upiec w piecu. Można też dopiero po upieczeniu wydrążyć środki, wtedy wsypywanie grochu będzie zbędne. Na kilo kartofli wziąć czterdzieści deka młodych pieczarek, oczyścić nożem i ściereczką na sucho. Gdy zupełnie usuniemy z nich ziemię, dopiero wtedy wypłókać, inaczej ziemia pozostanie w pieczarkach. Pokrajać pieczarki w cienkie paski. Zasmażyć pięć deka masła z dużą, drobno pokrajaną cebulą, włożyć pieczarki, dusić, aż zmiękną. Osolić, odrobinę popieprzyć, wsypać łyżkę mąki, wlać szklankę śmietany, zagotować. Masa powinna być bardzo gęsta. Napęlić temi grzybkami połówki kartofli, posypać bułeczką z serem i wstawić w piec dla zrumienienia. Do tego masło śmietankowe w kulkach i cytryna w ćwiartkach.

PYZY Z GRZYBAMI.

Dwadzieścia deka mąki rozczynić dwoma deka drożdży i dwiema szklankami letniego mleka. Gdy ciasto ruszy, dodać czterdzieści deka mąki, dobrą łyżkę masła, dwa jaja całe, osolić, wsypać łyżeczkę od herbaty cukru, wyrobić ciasto, aż od rąk odstanie. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Trzy deka grzybów suszonych ugotować z cebulą, włoszczyzną, listkiem i pieprzem. Grzyby usiekać, przesmażyć w łyżce masła z dużą, drobno usiekaną cebulą, zaprawić łyżeczką mąki, aby masa była gęsta. Brać rękami, maczanymi w masle, po niedużym kawałku ciasta, rozplaszczyc, nadziać łyżeczką grzybów, dobrze zacisnąć, układać rzędami w formie. Nie powinno być więcej, niż pół formy, bo bardzo rosną. Zakryć szczelnie. Gotować na parze półtorej godziny. Z pozostałego grzybowego smaku zrobić dobry sos z masłem, mąką i śmietaną. Wyrzucić babkę na półmisek i natychmiast gorącą podawać. Do niej sos oddzielnie w sosjerce. Do sosu można dodać dla smaku kawałek buljonu i zakończyć go kawałkiem śmietankowego masła.

KOTLETY Z FASOLI.

Czterdzieści deka dużej, białej fasoli („Piękny Jasio“), namoczyć na noc w zimnej wodzie. Ugotować na miękko, nie soląc. Wodę odlać, fasolę osuszyć w garnku pod pokrywą. Gorącą jeszcze przepuścić przez maszynkę. Łyżkę masła utrzeć na miseczce na śmietaną, dodać pięć, czy sześć orzechów włoskich, drobno utłuczonych, dwa całe jaja i masę fasolową. Wyrobić wszystko doskonale. Wyłożyć na stolnicę, posypaną mąką, uformować dwanaście zgrabnych kotletów. Posmarować rozbitym jajkiem, obsypać grubo tartą bułeczką. Smażyć w bardzo obfitem

maśle lub szmalcu. Przewracać na patelni i zdejmować z niej specjalną łopatką, gdyż są bardzo kruche. Zimą podajemy do nich sałatę z czerwonej kapusty, latem sałatę głowiastą ze śmietaną.

Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Szatynce. — Środków chemicznych na bezpowrotne usunięcie włosów niema. Wszystkie niszczą włos, lecz nie wpływają na brodawkę włosową, a bez jej zniszczenia włos bezwzględnie odrósł. Tylko elektroliza i diatermia jest środkiem niezawodnym. Jednakże zabieg ten musi być wykonywany tylko przez lekarza-specjalistę, w przeciwnym bowiem razie można być narażoną na utworzenie się różnej wielkości blizenek.

DO JAKIEGO PÓJŚĆ KINA W STOLICY

ŚWIATOWID — kino dźwiękowe, Marszałkowska 111: „Monte Carlo“ — reżyserja Ernesta Lubitsch'a. W roli głównej Jeanette Mc. Donald i Jack Buchanan.

STYLOWY — Marszałkowska 112. — „Karkołomne zakręty“.

POLA NEGRI PALACE — Plac Teatralny — „Porucznik Armand“ wspaniały dźwiękowiec z Ramonem Navarro.

UCIECHA — kino dźwiękowe — Złota 72. „Moje słoneczko“ w rolach głównych Janet Gaynor i Charles Farrel.

SPLENDID — Senatorska 29. „Kobieta, która się śmieje“.

PAN — Nowy Świat 40. Największy film świata „Indyjski Grobowiec“, 2 serje razem w całości — z Konradem Veidtem.

CAPITOL — Marszałkowska 125. Najwspanialszy film polski „Na Sybir“.

HOLLYWOOD — teatrzyk dla dzieci — Hoża 29. Czarująca bajka „Szkłana góra“ — pocz. 12 m. 15 pp.

HOLLYWOOD — kino-teatr. Dramat „Złote bagno“, w roli głównej George Bancroft i Nancy Carroll. Na scenie rewwja „Oj, te ostatki!“.

KOMETA — Chłodna 49. „Zielona brygada“ ze śpiewem chóru rosyjskiego. Na scenie występy artystów.

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy naszym Czytelniczkom, że:

1. *Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma, należy wplacać prenumeratę zarosze zgóry.*
2. *Przy wszelkiej korespondencji z Redakcją lub Administracją w sprawie prenumeraty, zamówień i t. p. prosimy łaskawie załączać znaczki pocztowe na odpowiedź w sumie 30 gr.*
3. *W razie zmiany miejsca pobytu prosimy o podarowanie poprzedniego adresu, pod którym dotychczas otrzymywano było pismo, oraz załączanie 50 gr. na koszty, związane ze zmianą adresu.*
4. *Celem uniknięcia pomyłek w wysyłce pisma, prosimy o wyraźne i czytelne wypisywanie adresów na przekazach i zamówieniach.*
5. *Przy przesyłaniu należności prosimy zaznaczać na przekazach cel wypłaty.*
6. *W razie nieotrzymania któregośkolwiek N-ru, prosimy o zawiadomienie nas o tem najdalej w ciągu tygodnia od daty wyjścia poszczególnego N-ru, ponieważ spóźnionych reklamacyj poczta nie uwzględnia.*

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Rymarska 8, tel. 244-18.